Nr. 25 (1173). Warszawa, dnia 7 (20) Czerwca 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szanow. Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy zbliżający się termin przedpłaty.

POLITYKA.

Przewrót w Serbii.

Prędzej, niż najśmielsza myśl zamarzyć mogła, spełnił się w Białogrodzie akt dziejowego odwetu za wszystkie zdrożności panowania, które dla historyi jest już ostatniem w dynastyi Obrenowiczów. W nocy ze środy na czwartek przeszłego tygodnia, z dnia 10 na 11 b. m., spisek wojskowy wtargnął do pałacu królewskiego, z turecka wciąż jeszcze konakiem zwanego, i prawdziwie po turecku — w dawniejszem jeszcze pojęciu, z czasów straszliwej potęgi otomańskiej — położył kres szalonej, dzikiej, potwornej gospodarce, na którą w równej mierze składał się i gwałt prawa publicznego i najwstrętniejsza, seksualna i niepatryotyczna, prywata. Oboje królestwo zamordowani, z niewątpliwem okrucieństwem, ciała ich wyrzucone przez okno; trzech adjutantów zamordowanych, kilkunastu gwardzistów dworskich zmiecionych z drogi kulą i szablą; dwaj ministrowie zabici; trzeci śmiertelnie raniony; pozostali wzięci pod straż, póki się nie dostaną pod sąd. W całem działaniu najmniejszego przeciwieństwa, rozdarcia, walki wewnętrznej: spisek cywilny, wrzący w duszach ludności, wtórował spiskowi wojskowemu, szalejącemu w konaku. Ani w samej stolicy, ani też w Niszu, skąd zapowiadano wystąpienie; nic rzeczywiście nie drgnęło. I wojsko i lud i naród — wszyscy oddychali według jednego rytmu. Białogród przyjął wiadomość o zamordowaniu z radością, bo mordercom zawdzięczył przewrót, którego oddawna zdrowa część narodu pragnęła, a powszechność uznania stwierdzona spokojem prowincyi, dała legalną przewrotowi temu podstawę.

Anegdotyczną stronę wielkiego wypadku znalazł już czytelnik w gazetach. Na tem miejscu zapuszczać się w całą zewnętrzną zjawiskowość nie wolno; zjawiska bowiem same nie mają jeszcze ustalonej postaci, a krytyczny pogląd na doniesienia sprzeczne między sobą, rozdźwięczne i bałamutne — nie może być naszem zadaniem. Ze strony politycznej widziany wypadek przedstawia się, jako czyn, przywracający psychologiczną równowagę między prawami lepszych, nie samym tylko egoizmem żyjących, skupień w narodzie i społeczeństwie serbskiem, a szeregiem bezprawi, szaleństw i wybryków całego panowania, zwłaszcza w ostatnich trzech miesiącach, od chwili zawieszenia konstytucyi z r. 1901 (d. 24 marca). Zbierało się na przewrót gwałtowny już przed trzema laty, kiedy król 23-letni szedł w jarzmo kobiety o kilkanaście lat od siebie starszej, a przytem — kochanicy Milana, który swojem także postępowaniem, swojem bezojcowstwem moralnem, przyczynił się synowi do haniebnego upadku. Udana brzemienność niegodnej nietylko tronu, ale nawet uczciwego progu Dragi, jej ambitne dążenie do oddania korony bratu, Luniewicy, jej intrygi i chciwość, jej niedorzeczna duma tronowa — przepełniły miarę. Świeże zawieszenie konstytucyi, rozpędzenie poprzedniej skupszczyny, zgnębienie stronnictwa radykalnego, wybranie nowej reprezentacyi przez prefektów — uczyniły — jak głosi odezwa nowego rządu — opór narodu koniecznym, nieuniknionym.

Wśród haseł, z jakiemi spiskowi przed północą d. 11 b. m. wpadli do konaku, rozlegało się jedno, pod którem występował już lekkomyślny zamach przeszłoroczny w Szabacu. W dziejach wewnętrznych Serbii XIX w. rozbrzmiewało ono na przemian a wrogo z zawołaniem dynastyi dziś już do grobu złożonej. Obwoływano mianowicie owej pamiętnej nocy potomka Jerzego Czarnego, pierwszego patryoty serbskiego, pierwszego przewódcy i obrońcy praw z orężem w ręku, Piotra Karadżeordżewicza. Był on istotnie pretendentem; mógł też z góry wiedzieć, choć się współwiedzy wypiera, o tem, co wybuchnąć miało w Białogrodzie. Spisek wszakże nie powstał z jego podmuchów, ani też nie rozszerzył się przy jego własnem współdziałaniu lub z pomocą jego stronnictwa, o którem nawet w ścisłem znaczeniu, jako o zorganizowanym tłumie zwolenników mówić nie można. Jeżeli dla wytłomaczenia samodzielności porywu wojskowego nie wystarcza powszechna żądza przewrotu, jeżeli koniecznie potrzeba jakiejś domniemanej, a nawet faktycznej wskazówki wpływów zewnętrznych — wolno jest i nawet należy wskazać, jako sprężyny duchowe czynów spełnionych — wybitniejsze jednostki ze stronnictwa radykalnego. Wojsko działało w porozumieniu z niemi, a samo wysunięcie na czoło krótkotrwałego rządu tymczasowego takiej osobistości, jak Awakumowicz, nie pozwala wątpić o współdziałaniu politycznem i moralnem Radykalnych, szczególniej przez młodego półgłówka, jak i przez jego ojca, prześladowanych.

Po uprzątnięciu już głównej przeszkody — hasło pierwszej chwili zamieniło się

w programat rządu, który ta właściwie chwila zrodziła. Wołanie o rzeczpospolitą szybko stłumiono, wołających nawet wzięto pod klucz. Więcej niż względy wewnętrzne na niedojrzałość, stanowiącą nietylko praktyczny, ale i naukowy, teoretyczny dogmat, zaważyło tutaj oglądanie się przezorne a czujne na dyplomacyę europejską. Ludziom działającym chodziło o to, aby Europa nie „interweniowała,“ nie zburzyła tego, co zrobili, a do celu tego dążąc, widzieli jasno, że gdyby z ich roboty wykluć się miała republikańska forma rządu, zburzenie byłoby pewnem. Dyplomacya wobec kandydatury pretendenta z prawami historycznemi, widząc tron odbudowany, przy zasadzie równowagi, przestrzeganej od r. 1897, nie miała powodu do wkraczania wewnątrz Narodu Serbskiego; milcząco uznała przewrót, milcząco zgodziła się na nowego monarchę! W prowadzeniu sprawy widać dużo rozsądku: najpierw wojskowi sprawcy rewolucyi nie wdarli się do rządu tymczasowego, który z niej wyszedł; a potem rząd tymczasowy, ze wszystkich mniej więcej stronnictw złożony, jak najszybciej powołał istotny organ woli narodowej, skupszczynę z przed 24 marca — do przeniesienia władzy monarchicznej na Piotra Karadżeordżewicza. Wszelka kandydatura postronna, przedewszystkiem zaogniłaby stosunki wewnętrzne, a następnie sprowadziłaby wojnę dyplomatyczną i wszystkie jej dla Serbii niebezpieczeństwa. Zwołana już na 15 czerwca skupczyna tego samego dnia prawie jednomyślnie ogłosiła księcia nowym królem Serbii. Przyjęcie nie ulega wątpliwości; tylko szczęście Serbów pod nowem panowaniem jest tajemnicą przyszłości. Za tydzień Piotr I będzie już w Belgradzie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

O przewrocie białogrodzkim d. 16 czerwca nadchodzą od dziesięciu dni tak obfite wiadomości, że możnaby już niemi dużą książkę wypełnić. Większość jednak okazuje się lekkomyślną, nowiniarską, w reporterskim stylu „sensacyjną.“ Znarowione, zepsute dziennikarstwo, jawne głupstwa i plotki podaje nieraz za fakta niecofnione. Główny zrąb wypadków zarysowano w artykule wstępnym. Paryski *Temps* za sprawczynię wszystkiego złego uważa Dragę. Dotychczas wypadki rozwijają się spokojnie: Rosya i Austrya uznały przewrót za sprawę wewnętrzną Serbii. Bulgarya zapewnia o swej bezinteresowności; trochę tylko wzmocniła straż pograniczną. Wybraniec Narodu Serbskiego ma lat 57; ożeniony z Zorką czarnogórską, jednego z synów wychowuje w Rosyi. Na sztuce rządzenia się nie zna; do tychczas żył więcej jako *privatier*, z krótkiemi przerwami podczas wezbrań ambicyi politycznej. Jest on dla Serbii jednym wielkim znakiem zapytania.

Dnia 16 b. m. odbyły się w całej Rzeszy niemieckiej wybory do sejmu. Na ziemiach polskich pocieszającym objawem, już tutaj zaznaczonym, było postawienie kandydatur narodowych na Śląsku Górnym. Niejaki Napieralski, redaktor *Katolika*, bróździł wszakże, i trzymając z centrum, szermując żakowską sofistyką, w jednym co najmniej, bytomskim okręgu, bardzo poważnie podkopywał wybór Polaka, a szerzył demoralizacyę w innych. W Poznańskiem i Prusiech Zachodnich ułożono nowe poprawne listy zalecanych do wybrania. Polacy w Berlinie postanowili wybrać adwokata Chrzanowskiego; w Westfalii kandydował Polak. Chociaż powodzenie może być nieosobliwem, sama przecież metoda walki tegorocznej z Niemcami wykazuje już niewątpliwą wyższość i rozpoczyna jakby nowy okres korzystania z nieodjętych jeszcze praw politycznych.

Senat francuski uchwalił służbę dwuletnią. Nic już teraz nie sprzeciwia się jej wprowadzeniu. Francuzi już do 8 b. m. zbombardowali wieś w oazie Figuig. Zastanawiają się nad jej zajęciem.

Na Węgrzech przesilenie. Szell podał się do dymisyi; król ją przyjął. Następcą prawdopodobnym będzie Csaky. Opozycya nie przestaje tamować obrad. W Chorwacyi ciągłe rozruchy.

Dnia 12 b. m. do powozu Franciszka Józefa w Wiedniu wskoczył jakiś przechodzień i laską żelazną zamierzył się na cesarza. Skonstatowano obłęd.

Na półwyspie Bałkańskim nieco spokojniej. Po przewrocie w Serbii waga przyszłości pada na gabinety i ich tajemnicze sprawy.

Hr. Andrzej Potocki od 10 b. m. jest już z marszałka namiestnikiem. Że też od czasów Zyblikiewicza wciąż albo wielki pan, albo panek, jeden po drugim. Ciągle tylko ćwierć — duszy.

Żony Obrenowiczów.*)

Twórcą państwa serbskiego i założycielem dynastyi narodowej był, jak wiadomo, w początkach XIX stulecia, prosty chłop, Miłosz Teodorowicz, który póty tak się nazywał, póki chodził za wołami swego brata przyrodniego, wojewody Milana Obrenowicza. Później, kiedy sam został wojewodą Rudnika, przyjął nazwisko ojczyma i dobroczyńcy swego, Miłosza Obrenowicza. Obaj zresztą wyszli z rodu kmiecego, a znaczenie i stanowisko zawdzięczali tylko sobie — swym zdolnościom i pracy. Wojewoda rudnicki nie umiał do końca życia ani czytać, ani pisać; pod aktami państwowymi kładł zawsze pieczęć tylko; ale była to natura niezwykła, prawie genialna, człowiek niepospolitych zdolności, jako żołnierz i jako dyplomata, organizator niepowszedni, który maleńką, spustoszoną prowincyę turecką podniósł do godności księstwa hołdowniczego i uczynił punktem, ku któremu zwracały się nadzieje całego półwyspu Bałkańskiego. Jak legendowy bohater serbski, Marko Kraljewicz, był on wcieleniem złych i dobrych skłonności swojego ludu, jego typowym przedstawicielem. Sami Turcy, którym tak się dał we znaki, przyznali mu nazwę Miłosza Wielkiego (Kodża Miłosz).

Ten to Miłosz, zanim został Obrenowiczem, zanim podniósł sztandar rewolucyi narodowej, który wypadł był z rąk Kara-

*) Ten artykuł jest streszczeniem obszerniejszego, napisanego przez byłego prezydenta ministrów serbskich, Vladana Georgewicza i drukowanego w nr. 19 tygodnika *Zukunft* z roku bieżącego.

10)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

Od tego dnia stosunki Karskich z sąsiadami i uprzywilejowaną częścią „towarzystwa“ mocno się popsuły. Kupcy traktowali Stefana wprost wrogo, i nieraz on słyszał za plecami, niby na wiatr rzucane, obelżywe wyrazy:

— Farmazon... sycylista!.

Koźma już nie ukazywał się w budzie. Ostrożny Guran przestał im udzielać wskazówek. Damian znikł na czas jakiś z widnokręgu. Spirydion zaczął im przysyłać gorsze obiady. Ale Karski ostro upominał się o należne mu z umowy porcye, a na brak uprzejmości nie zwracał uwagi. Przychodziło mu to tem łatwiej, że na łodzi mało bywał i mało miał teraz z ludźmi do czynienia po za obrębem pracy, jedzenia i spania. Na to głównie zwracał uwagę.

Ale raz dostrzegł, że pani Anna, bez względu na wietrzną pogodę, wciąż stoi obok Gurana na mostku, a jednocześnie słyszał w przedziale kupców głośne chichoty, śpiewy i wykrzykniki. Słuchali ich z wielką uciechą holownicy i robili wesołe uwagi. Odczepił więc ślę i kazał się wziąć na statek. Guran wzdragał się przybijać, Damian też krzyczał, że czasu tracić nie można. Karski już się gotował pójść wpław do łodzi, gdy jeden z kupców wychylił głowę z pod płótna i pijanym głosem zawołał:

— Przybijaj, przybijaj!.. Nie wzdragaj się!..

— Ty nie uwierzysz, co oni dziś wyrabiają!.. Wprost takie wygadują rzeczy... takie nieprzyzwoitości, iż usiedzieć w budce niepodobna... Przecież oni wiedzą, że wszystko u nas słychać!.. — skarżyła się pani Anna, czerwona od wzburzenia.

Karski spojrzał z wyrzutem na Gurana, który zmieszany, oczami po rzece wodził, krzyczał zbyt głośno i zapamiętale:

— Zczyszczaj!.. Hej!.. Miotaj!..

— Cicho!.. Usłyszy!.. — ostrzegał jeden głos w przedziale kupieckim.

— Co cicho? Albo to ja się go boję, albo to ja nie zapłaciłem za miejsce?.. Wolnoć Tomku w swoim domku!.. Wolno mu ciągnąć — wolno mi śpiewać... — bronił się drugi głos, po którym Karski poznał Tereszkina. — Wielka rzecz, choćbyśmy się i pobili... Aby nie na śmierć!.. Czy to pierwszyzna...

Rano kawa i biskwity,
A wieczorem nos rozbity.
Uha!.. Ha!.. Ha!..
Która z was mi buzi da!..

Dalszy ciąg był do tego stopnia nieprzyzwoity, że nawet Karski poczerwieniał. Szybko przeszedł po desce i pochylił się u wejścia do budy, trzymając oburącz za pałąk odrzwi.

— Proszę przestać!.. Proszę natychmiast zaprzestać!..

— Co? A ktoś ty taki?.. Wielka duszo na małych nóżkach!

— Odejdź! Niech pan sobie odejdzie i zostawi nas w spokoju!.. — dodał starszy Bryłkin.

— Żądam zaprzestania nieprzyzwoitości!..

— Przecie pan się zgodził na odjezdnem nie krępować nas...

— Co tu z nim gadać!.. Świadków niema... Niech się skarży...

— Gospodarzu!.. — woła drżący z gniewu Karski.

— Co? gospodarzu! My i gospodarzowi wybić zęby możemy... My tu się z nim porachujemy za wszelkie względem nas podłości...

Damian też widać tego był zdania, gdyż wcale na wołanie się nie zjawił.

dżeordżewiczów i zgromadzonemu w Takowo ludowi zakrzyknął swe słynne: „Oto jestem! Wojna Turkom!“, a więc wówczas, kiedy jeszcze nie świtało mu nawet w głowie, że Serbia może mieć swego własnego księcia i że tym księciem on będzie, pojął był za żonę chłopkę, Lubicę Vukomanowicz, z bardzo zacnego zresztą domu, która też w następstwie rzeczy została pierwszą księżną serbską.

Była to kobieta wielkiej piękności, ale i charakteru niezwykłego i dużej odwagi. Kiedy raz Miłosz, powróciwszy do domu po przegranej bitwie, powiedział, że wszystko stracone i pozostaje mu tylko umrzeć, Lubica odwiązała fartuch i rzucając go jemu i jego wojewodom, zawołała: „Ot, macie, przywiążcie sobie fartuchy, bo nie wam oręż nosić.“

Zdrowego rozsądku zaćmić, żelaznego charakteru tej kobiety nie mogły nadwątlić nawet zawrotne wpływy wysokiego stanowiska, na którem niespodzianie się znalazła. I na tronie pozostała taką, jaką była: wierną żoną, oszczędną gospodynią, czujną matką, która swych synów, tak jak to było we zwyczaju w rodzinnej jej wiosce Brusnicy, za uszy wytargać umiała. Teraz tylko całą Serbię uważała, jako swój własny dom, za przedmiot miłości i troskliwości macierzyńskiej. O tem, co dla niej zrobiła dobrego, o złem, któremu zapobiedz się starała, błaganiem, łzami usiłując łagodzić często gniewnego i do okrucieństw skłonnego małżonka, możnaby tomy napisać. Ale nie posiadała jednej cnoty niezbędnej dla małżonki panującego — pobłażliwości dla wykroczeń zmysłowych. Miała naturę pierwotną, impulsywną, idącą za popędem wrażenia; z chłopskiej swojej wioski wyniosła pojęcie o świętości małżeństwa, więc kiedy raz we własnej sypialni zeszła męża na uczynku przeniewierstwa z jedną z kobiet dworskich, schwyciła pistolet, wiszący na ścianie i zabiła ją na miejscu. Ten strzał zdruzgotał jej własne szczęście rodzinne i przyniósł smutne następstwa dla całej dynastyi. Lubica wraz z dziećmi została wygnaną do Požarewac, a choć w jakiś czas potem nastąpiło pojednanie zwaśnionych i zamieszkali znowu razem w Białogrodzie, nie wróciła już ufność i nie przyszło zapomnienie.

Losy i szczęście narodu bywają często bardzo ściśle związane z warunkami prywatnego życia jego książąt.

Wewnątrz kraju zaszły też tymczasem niekorzystne dla nowej dynastyi i jej dążeń autokratycznych zmiany w usposobieniu ogółu, które coraz jawniejszą krytyką i coraz głośniejszem szemraniem wyrażać się zaczęły. Serbia zrzuciła wprawdzie jarzmo tureckie, ale Miłosz o żelaznej pięści, który sztuki rządzenia nauczył się od Turków, postępował sobie, jak jaki basza turecki. Gotowy już wybuch zażegnał on jednak ustępstwami i koncesyami, które poczynił krajowi w 1835 r., ale na krótko tylko; wprędce bowiem niezadowoleni zaczęli znów działać, aby go tronu pozbawić. Na ich czele znalazła się śmiertelnie obrażona chłopka z Brusnicy, zrozpaczona matka, która dała się przekonać nieprzyjaciołom swego męża, że w ten sposób tron dla syna uratuje.

Miłosz, oswobodziciel Serbii i założyciel państwa serbskiego, poszedł tedy na wygnanie. A na tronie książęcym zasiadł najstarszy syn jego, Milan, który po upływie miesiąca umarł. Po nim władza przeszła w ręce drugiego syna, Michała; lecz ten po trzech latach musiał ustąpić miejsca Aleksandrowi Karadżeordżewiczowi i pójść także na wygnanie. W szesnaście lat potem, w 1858 r., Obrenowicze zostali przywróceni do władzy w osobie samego założyciela dynastyi, starego księcia Miłosza; ale Lubica nie widziała już tego; zmarła ona na wygnaniu i została pochowana w klasztorze Krušedol, w Smyrnie.

Z Miłoszem powrócił do Serbii i książę Michał, jako następca tronu. Wygnanie uczyniło z niego Europejczyka. Przez obcowanie z monarchami i wielkimi politykami za granicą nauczył się niejednego i przyjrzał z blizka wielu rzeczom. Wszystko go obchodziło: ludzie, książki, rzeczy, wszystko studyował bacznie. Lud swój kochał i służyć mu jak najlepiej pragnął. Cała chrześciańska ludność półwyspu Bałkańskiego spoglądała ku niemu z ufnością. Ale i jemu szczęście nie dopisało. Bawiąc na wygnaniu, zaślubił hrabiankę Julię Hunyadi, córkę starego i wsławionego rodu węgierskiego. Pod każdym względem była ona godną stanowiska, jakie zająć miała, ale pozostała bezdzietną. Przyszłość dynastyi znalazła się więc w niebezpieczeństwie. Wobec tego księżna Julia po latach daremnego oczekiwania, choć kochała i była kochaną, postanowiła się usunąć. Lecz jej ofiara okazała się bezużyteczną: Michał został zamordowany, a na tronie książęcym zasiadł jego krewny, Milan Obrenowicz. Ten znowu i w złem i w dobrem, odznaczał się wszystkiemi właściwościami pierwszego założyciela dynastyi, a w dodatku po matce, urodzonej Catargi, odziedziczył usposobienie niesłychanie namiętne. I nieszczęście chciało, że ten człowiek nieokiełznanego temperamentu, pierwszą ładną dziewczynę, w której się zakochał, wyniósł do godności księżny, a potem królowej serbskiej; że podeptawszy wszelkie względy przezorności politycznej, przyszłość dynastyi, tak słabo się trzymającej, oddał w ręce pięknej kobiety, niewychowanej do roli monarchini, nieprzygotowanej do zadań i obowiązków, które ją czekały. Panna Keszko w rodzinie mieszczańskiej byłaby może idealną żoną i matką, na tronie Serbii stała się fatalną przyczyną wielu nieszczęść. Myślała tylko o sobie i swej piękności, dla której zachowania wyrzekła się nawet macierzyństwa po urodzeniu ks. Aleksandra; a kiedy jej przyjaciele przedstawiali szkodliwość takich postanowień, odpowiedziała: „Je ne dis pas non. Dans dix ans: oui; mais jusque là, je veux vivre.“ I dla tego „vivre,“ które rozumiała po mieszczańsku, zaprowadziła na dworze, zbytek, jakiego przedtem Serbia nigdy nie widziała. Ciągła zabawa, bezustanne tańce z młodymi attachés, poważnymi dyplomatami i starymi genarałami; a jeśli taki stary tancerz przewrócił się kiedy ze swoją tancerką, najjaśniejsza pani, nie podnosząc się z ziemi, zaśmiewała się z wielkiej uciechy. Milan tymczasem czuł się nieszczęśliwy. Jego miłość nie osłabła, a jednak miał rywali i musiał znosić drwiny służby, która patrzyła na to, jak mu praw odmawiano. Wreszcie i on począł szukać uciech niedozwolonych. Kobieta, która umiała to usposobienie wyzyskać i przywiązać go do siebie na długie lata, była zupełnie nieładna, żona wysokiego urzędnika i matka licznej rodziny. Wówczas ta, która była wyłączną wszystkiego przyczyną, podniosła na cały świat głośny krzyk oburzenia znieważonej małżonki. Królowa Natalia nie umiała żyć i cierpieć z godnością. Z pobudek urazy osobistej zaczęła w dodatku mieszać się do polityki. Milan, słusznie czy niesłusznie, podejrzewał, że zamierzała zrzucić go z tronu i siebie regentką ogłosić. Trudno przypuścić jednak, żeby kobieta, zupełnie do rządów nieprzygotowana, która całe życie nic innego prócz powieści nie czytała, miała od-

---

Karski czuł swą bezsilność i ściskał obręcz w palcach tak mocno, że aż trzeszczała.

— Wrzucę do wody! — rzekł głucho.

— Oho!.. Siła złego dwóch na jednego!..

— Związać go! — komenderował Tereszkin i szedł, potaczając się, ku przeciwnikowi z ręcznikiem w ręku.

Karski wyciągnął ramię, aby go schwycić za kark, ale kupcy odgrodzili go od towarzysza. Jednocześnie uczuł na plecach dobrze znane delikatne dotknięcie.

— Stefanie, zostaw w spokoju tych złych ludzi, niech śpiewają!.. — mówiła blada jak śmierć Anna.

Karski zrobił ruch niecierpliwy, ale spojrzał na płonące niespokojnie oczy żony, na wązką deseczkę, na której stała, na skłębione, mknące przed nią nurty i w mgnieniu oka ochłonął.

— Szkoda, żeś mię wstrzymała!.. Oni mogą dojść, Bóg wie do czego!..—mówił, odprowadzając ją na miejsce.

— Niech pan się nie boi!.. Już to się nie powtórzy... Znam ja ich... obwarzanki miejskie... — uspakajał go po cichu Guran. — Jacy oni kupcy?!.. Sami się chwalą... Poprostu kramarze. Dziś pijani, więc niech już pan wytrzyma, ale wódki mają mało, a trzeźwi nie odważą się... Toć widać, że pan może człowieka w gębę gwizdnąć!..

— Ewangielista!.. Miłosierny baranek!.. Litościwy sycylista!.. A zaraz: utopię!.. Oho! Wara! Do cyrkułu nie łaska!..— gdakali za płótnem pijani kupcy, przetykając swe sentencye niemożliwemi przekleństwami.

— Niech pan zejdzie na brzeg... Niech pan zejdzie na brzeg!.. — nastawał Guran.

Karski usłuchał go. Czas jakiś jeszcze grzmiały na łodzi wykrzykniki i dzikie wyrazy, plugawiąc czyste powietrzne przestworza i wywołując potworne echa nad wodą i w górach, lecz zwolna ucichło wszystko.

Holownicy z ukosa w milczeniu jakimś innym wzrokiem spoglądali na Karskiego, który wprzągł się znowu w ślę i parł z nimi statek, wygięty naprzód piersią. Wydało mu się, że w ich głosach, w ich obejściu tai się niezadowolenie z niego i drwiny...

V.

Przepowiednia Gurana ziściła się.

Nazajutrz kupcy wcale nie śpiewali, przestawali nawet rozmawiać, gdy Karski zbliżał się ku nim. Wzrokiem jedynie wyrażali mu swą nienawiść, a gdy był na brzegu, pozwalali sobie na rozmaite dwuznaczniki, doskonale zrozumiałe dla wszystkich obecnych.

Zbierali się zwykle koło ogniska na dziobie łodzi, który w dni pogodne służył za rodzaj klubu dla całej osady.

— Komu to tu poprawiać świat!? — filozofował stary Bryłkin.

— Wio!.. Wio!.. Fiut!.. — gwizdał Tereszkin i mlaskał językiem, naśladując trzask bata.

— Słyszycie, jak na was gwiżdżą? — zwrócił się raz do Karskiego Indor.

— A może to na was?

— Ej, gdzie tam! Nie gwizdali dotychczas, po co by mieli gwizdać teraz!?..

— Mybyśmy ich gwizdnęli, a jakże!.. — przechwalali się Zygani.

— No i co?

— A to, że wygląda pyzato!.. Bez gadania!

— Ej, wy, paple!.. Nie folgujcie... Ledwie zdołać mogę!.. — obruszył się Obuch, oglądając na towarzyszów. Spotkali się spojrzeniem z Karskim i olbrzym uśmiechnął się przyjaźnie. — Niech pan ślę wyżej podniesie... Na dołku ją pan ma... Zeprze pana!..

Nie mieli czasu na gawędy, nie mieli go na nic.

Karski poznał gruntownie psychologię uprzężnego zwierzęcia. Nauczył się skrócać czas rozmyślaniem, jak prędko skończy się przykry „bystrzec“ i szkuta na „lżejszą“ wejdzie wodę; nauczył się wybierać wśród kamieni dogodne dla stąpnięcia

wagę porwać się na takie przedsiewzięcie. W każdym razie to było kroplą, która przepełniła czarę. Natalia wraz z księciem następcą musiała opuścić Serbię, a w jakiś czas potem zawiadomił król ministrów zebranych na radę, że podał się o rozwód z żoną. Ostatecznie sprawa miała się zakończyć kompromisem, skargę o rozwód postanowiono cofnąć, jeśli królowa da zobowiązanie, że do ośmnastu lat syna będzie mieszkać za granicą i kierować jego wykształceniem, zaopatrzona w odpowiednią swemu stanowisku listę cywilną. Dokument z podpisami króla, wszystkich ministrów, książąt kościoła i wysokich urzędników państwa zawieziono do Wiesbadenu, gdzie królowa Natalia oczekiwała na przybycie posłannika. Sądzono, że miłość dla dziecka skłoni ją do przyjęcia warunków. Lecz omylono się. Natalia wolała wyrzec się posiadania przy sobie syna, niż czekać jego pełnoletności i z nim, jako królowa, wrócić do Serbii. Ale sympatye całego świata, nieznającego rzeczywistego stanu rzeczy, były po stronie pięknej królowej, której przez żandarmów odebrano jedyne dziecko. Milan, nie próbując wywieźć ludzi z błędu, zabiegał tylko o to, aby tron dla syna uratować. Aż wreszcie, poczęści dla pobudek politycznych, poczęści dla względów natury prywatnej, abdykował na rzecz jego.

Znowu więc na tronie serbskim zasiadło czternastoletnie chłopię, a państwem rządzić miała regencya. Ojciec króla wyjechał za granicę, matka powróciła do kraju. Po pewnym czasie siłą wydalono ją znowu i postanowiono prawo, skazujące oboje rodziców króla na wygnanie z Serbii. To prawo jednak położyło koniec regencyi. Król Aleksander ogłosił się pełnoletnim i, dziecko jeszcze, ujął sam ster rządu. Kiedy zbliżał się czas jego ożenienia, ministeryum postanowiło pogodzić rodziców młodego monarchy. Lecz król Aleksander w imieniu matki udaremnił wszelkie ich starania. Wszystko wreszcie przygotowano, małżonka dla młodego króla była już wybrana, gdy niespodzianie ogłosił on proklamacyę, w której zawiadamiał naród o swem małżeństwie z damą dworu królowej Natalii. Był to krok nierozumny i szalony, który musiał dać rezultat tragiczny.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Słów kilka w kwestyi szkolnej. — Oaza tuszyńska. — Przygoda straży ogniowej na prowincyi. — „Bandyci“ wśród kmiotków sandomierskich i miłosierdzie w powiecie Łódzkim. — „Reperator“ wiejski i pomoc lekarska fabryk Zagłębia — Rzemieślnicze kursa rysunkowe w Kaliszu. — Zwrot w prasie prowincyonalnej.

Kwestya szkolna to bodaj najtrudniejszy orzech do zgryzienia dla zabierającego głos w sprawach potrzeb prowincyonalnych. Zawsze niemal przytoczone cyfry wprawiają w osłupienie. Mówią zaś one, że szkół wogóle brak zupełny, że w istniejących panuje przepełnienie, że nauczyciele przeciążeni są pracą i co najważniejsza, że procent analfabetów zmniejsza się bardzo, ale to bardzo powoli. Czytamy znowu od czasu do czasu o niebywałej dążności mas ludowych do wiedzy, tak np. *Echa Płockie* zamieszczają bardzo ciekawe wiadomości z Ciechanowskiego, gdzie włościanie, niechętnie wogóle udzielający składek na szkoły gminne, energicznie nadzwyczaj krzątają się około nauki, tak że widzimy tam bardzo oryginalne zjawisko — mało szkół i niechęć do istniejących, a zarazem bardzo niewielki procent analfabetów. Obecnie znowu z *Rozwoju* łódzkiego dowiadujemy się o takiej niechęci wśród ludności przemysłowej Zgierza, gdzie przy niesłychanem przepełnieniu 4 szkół męzkich i 3 żeńskich (900 dzieci) zauważyć można brak nauczycieli i nauczycielek (12 osób wszystkiego). Obecnie ta niechęć przejawiła się w odrzuceniu projektu powiększenia płacy nauczycielom i zmniejszeniu składki na szkołę od mieszkańców.

Oazę też jakąś pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, stanowi miasteczko Tuszyn, z którego korespondencye wogóle poleciłbym czytywać każdemu, interesującemu się bliżej życiem prowincyi. Teraz np. w *Tygodniu* piotrkowskim pomieszczono artykuł o wydatkach szkolnych mieszkańców Tuszyna, gdzie na 4,311 ludności do szkoły uczęszcza 200 dzieci. Taka niebywała ilość uczniów pociąga za sobą nigdzie chyba nieznane następstwa: szkoła dwuklasowa pochłania $^1/_3$ wydatków osady, dwaj nauczyciele, nie mogąc wydołać, musieli podzielić dzieci na dwie partye, z których jedna uczy się w szkole przed południem, druga popołudniu; dla nauczycieli wybudowano dom mieszkalny, najporządniejszy w całym Tuszynie. Obecnie znów mieszkańcy czynią starania o rozszerzenie szkoły i sprowadzenie trzeciego nauczyciela, lwią część wydatków biorąc na siebie. Przyczynę tych zjawisk autor artykułu widzi tylko w dążności warst ludowych do oświaty i w dobrej szkole. W szkołach niższych — powiada — liczba uczniów wciąż wzrasta, a gdy jeszcze nauczyciel chce i umie uczyć dzieci, gdy rodzice spostrzegą, że malcy piszą i czytają nietylko po rosyjsku, lecz i w ojczystym języku, gdy wreszcie umieją zmówić pacierz, wtedy napewno szkoła jest przepełniona.

Szkoda tylko, że Tuszyn, który nieraz już przy rozmaitych okolicznościach mieliśmy sposobność wspominać—stoi odosobniony, a że tak jest, o tem najdokładniej przekonali się sami Tuszyniacy podczas pożaru wsi Kalin, dokąd ochotnicza straż ogniowa, tuszyńska wyruszyła na pomoc. Przybyłych przed całą strażą toporników, przywitali chłopi, jak donosi *Rozwój*, widłami i cepami, tylko pojawienie się reszty straży ich uratowało. Poczem chłopi, ci oczywiście, którym pożar bezpośrednio nie zagrażał — ograniczyli się już tylko na wymysłach i niedopuszczaniu strażaków do swoich studzien. Trudne do uwierzenia, a jednak prawdziwe, jak ongi mówiono. Podobno pierwszych toporników w helmach i uniformach wzięli chłopi za przebranych podpalaczy, a później postępowali w myśl przysłowia „pilnuj swego nosa,“ „zasię ciarachom do nas.“

Zresztą wogóle, jeżeli tylko dobrze rozejrzymy się po naszej prowincyi, znajdziemy rzeczy, nad któremi zastanowiłby się sam Ben-Akiba. Oto np. ktoby się spodziewał, że wśród poczciwych kmiotków cichej sandomierskiej ziemi, znaleźć można fakty, żywo przypominające bandytyzm w Apeninach. Dla przykładu przytoczę urywek z korespondencyi *Gaz. Radomsk.*: „Opodal Koprzywnicy leży wieś Beszyce, w której od dawna mieszkali złodzieje. Ponieważ kradzieże uchodziły bezkarnie, zaraza

---

miejsca, nauczył zmieniać, nie zwalniając kroku, położenie naramiennika, nauczył pilnować taktu, zręcznie w biegu „zacinać ślę na półkę“ lub z niej odczepiać.

Wspaniałe widoki przestały dlań istnieć. Nienawidził razem z holownikami malowniczych, skalnych rumowisk, żółtych piachów, w których noga zapadała się po kostkę, barwnych szczereków, układanych ślicznymi gzemsami na pochyłych odmiałach. Tam noga zbyt się obsuwała i krok zamieniał się w pół kroku. Nie lubił pięknych zakrętów z rwącymi wartami, cichych, płytkich zatok, przez które trzeba było brnąć albo buchtować dokoła; nie lubił rap, głazów, „wilków“ i „prędowin,“ gdyż wszystko to mocniej naciskało na obolałe nogi i ramiona...

Wracał z roboty senny, rozbity, schłopiały. Gdy miał czas, brał syna na kolana i głaskał obrzękłymi palcami jego złote włosy. Była to obecnie jedyna jego uciecha. Ale chłopczyna odwykł od ojca i nieraz wyrywał się do matki, wołając:

— Nie... tahle, tahle!..

— Co to znaczy?

— Znaczy: wcale... znaczy, że nie chcę cię... Tak rzadko widuje cię teraz, Stefanie — tłomaczyła syna pani Anna.

— Prawda, ogromnie się zmieniłem! — odpowiedział Karski.

Nieraz, gdy siedział taki milczący i zobojętniały, patrzała nań pełnemi łez oczyma. Raz, obmywając mu owrzodzone nogi, przycisnęła nagle gorąco swe usta do nich.

Mężczyzna zmieszał się i nogi szybko pod siebie schował.

— Co to?

— Jesteś święty!..

— Wcale święty nie jestem. Przeciwnie, czuję się coraz gorszym. Tracę jakoś zdolność do współczucia. Wiesz co, może masz i racyę, że na tej drodze nic znaleźć nie można, oprócz... spokoju sumienia ! I to — dość lichego, względnego spokoju... bliźkiego obojętności! Być może, nie przeczę, że gdyby wszyscy zaczęli brać czynny udział w koniecznych robotach i pomagać na każdym kroku innym pracownikom, znaczna część ciężaru zostałaby zdjęta z warstw robotniczych i praca rozłożona równomierniej... Lecz aby to mogło nastąpić, konieczne jest takie gruntowne i powszechne przekształcenie pojęć, zwyczajów, uczuć, że wprost gdyby to była droga jedyna, przepaszcz mogłaby ogarnąć człowieka... Na szczęście tak nie jest!.. Życie toczy się ławą i wszystko zmierza ku jednemu celowi... Idziemy bezwarunkowo od zmroku ku słońcu... Ale nawet gdyby tak nie było, to... musiałby ktoś przecie zacząć!..

— Nie mam już na to ni sił, ni zdrowia!— szepnęła cichutko. Opuściła blade ręce wzdłuż ciała, a na długich, ciemnych rzęsach perliły się łzy.

Spojrzał na nią tkliwie, przypomniał sobie, jaką była niegdyś, jak podtrzymywała i zagrzewała go nieraz w ciężkich przeprawach...

— Kochana!— wyrzekł — nie o tem mowa!..

— Wiem, wiem, ale nie chciałabym być dla nikogo ciężarem!..

Przytulił ją do siebie, zdziwiony jej chudością, którą teraz dopiero spostrzegł.

— Jakże strasznie zmizerniałaś przez te parę tygodni... Nie płacz, Stefan za ciebie odpłaci, odrobi... Stać go na dwoje!..— mówił w dumnem poczuciu swej siły.

Usnęła przy jego boku, ukołysana opowieścią o tem, co będą robili i jak będą mieszkali tam... na południu.

Mało jednak mieli nawet takich wieczorów, gdyż praca wciąż rosła, pochłaniała siły i myśli. Karski zasypiał literalnie z ostatnim kęsem strawy.

— Mało wziąłeś ludzi! wyrzucał Damianowi przy spotkaniu.

— Bóg świadkiem, chciałem więcej, ale sam pan widział, czy mogłem... — tłomaczył się ten.

(C. d. n.)

złodziejska rozeszła się, jak ospa, po okolicy i dziś mamy już parę wsi, zamieszkanych przez samych prawie złodziei.“ Krótko i węzłowato. Dalej zaś znajdujemy opis kompromisowej tranzakcyi obywatela wiejskiego ze złodziejem, który za zwrot skradzionej z przedpokoju „dosyć kosztownej“ dubeltówki otrzymał *verbum nobile*, że ta kradzież ujdzie mu bezkarnie. Bandyci tamtejsi muszą mieć organizacyę nielada, jak widać znów z innej korespondencyi tejże gazety. Burmistrz ze Staszowa wysłał do Sandomierza grube pieniądze rządowe, tegoż dnia koło Koprzywnicy, w tychże Beszycach już wiedziano dokładnie nietylko o fakcie wysłania, ale i o sumie i o jakości pieniędzy, a rezultat był taki, że biedny stójka został napadnięty, związany, i musiał w dodatku po odebraniu mu części pieniędzy wysłuchać planów najdogodniejszego zarznięcia swojej osoby, do czego nie przyszło jedynie z powodu spłoszenia zbójców. Wygląda to cokolwiek rynaldinowato, ale też i możliwie w okolicach, gdzie takie sumy jak 1520 rb. papierami, 315 złotem i srebrem i 900 w przekazach wysyła się przez pieszego stójkę, wyruszającego w dodatku zapewne przez ostrożność na noc.

Gdy takie okropności dzieją się w dziewiczej, niemal kulturalnie pięknej ziemi, wzruszający obraz dobroci i miłosierdzia widzimy w innym znów zakątku, gdzie zamiast skowronków — huk maszyn przemawia, a zamiast pól i borów — kominy fabryczne otaczają człowieka. W tak prozaicznym powiecie jak Łódzki, miłosierdzie ludzkie musi kwitnąć zaprawdę, jeżeli, jak powiada *Rozwój*, zamieszkuje w nim stale 845 urzędowo kotrolowanych żebraków w tej liczbie 105 dzieci. Z pośród tych, 319 żebraków, prócz „stałych dochodów z jałmużny,“ ma jeszcze inne środki do życia — dochody niestałe, innym zaś jałmużna wystarcza. No na te ciężkie czasy żebrakowi musi się dziać nieźle, skoro wobec jałmużny inne dochody może uważać, jako niestałe.

Przechodząc do innej kwestyi, powtórzę za *Gazetą Kielecką* fakt, mogący być wymowną ilustracyą do kwestyi potrzeby szkoły babek wiejskich, o którą takie zawzięte polemiki odbywały się w Warszawie. Do chorej żony komornika we wsi Chwalibogowicach, a obecnie służącego w Winiarach, powiada *Gazeta*, gdy babka oznajmiła, że już „nie da rady,“ wezwano chłopa miejscowego „reperatora,“ który tak chirurgicznie wziął się do dzieła, że zrobił z chorej kalekę, niezdolną do żadnej pracy. Obecnie po latach paru pacyentka utrzymuje, że zaczyna jej się w głowie mieszać. Takich kalek w mniejszym lub większym stopniu nie przesadzę, gdy powiem, że na naszych wsiach, jest połowa, a część zchodzi ze świata wskutek nieumiejętnego obchodzenia się z niemi podczas choroby. Proszę sobie wystawić — kończy *Gazeta*— nędzę w takim domu, gdzie jest matka — kaleka, dzieci drobne, a na służącą nie stać. Mąż widząc nieład w domu, brudne dzieci, strawę niegotową, przeklina los i żonę. Co za nędza moralna!

Inną znowu sprawę medyczną porusza *Kuryer Sosnowiecki*, t. zw. kwestyę apteczek fabrycznych, tj. szafek, gdzie mieści się materyał, z którego felczer pod nadzorem lekarza przyrządza lekarstwa. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że jeden lekarz, obsługując po kilka fabryk, liczących kilka tysięcy robotników, nietylko nie może myśleć o nadzorowaniu felczera, ale nawet o obejrzeniu chorych. Czego następstwem są flaszki nieumyte, proszki nie ważone, dozy wydzielone na oko... cudowna skuteczność takiej pomocy lekarskiej, no i w końcu liczne skargi pacyentów. Do kwestyi tej jeszcze prawdopodobnie nieraz powrócimy.

Porzucając ponure obrazy i pragnąc na zakończenie dać czytelnikowi trochę jaśniejszych wrażeń przytoczę za *Gazetą Rzemieślniczą* wiadomość o ukończeniu pierwszego półrocza istnienia instytucyi bezpłatnych wieczornych lekcyj rysunków dla rzemieślników w Kaliszu, powstałych za przykładem Radomia, z inicyatywy Kaliskiego oddziału Tow. pop. przemysłu i handlu a z pomocą funduszów prywatnych. Ogółem lekcyj odbyło się w I półroczu 77, na które uczęszczało 230 uczniów, a z tych 95% zaczynało naukę od początków elementarnych. Uczniowie kursu otrzymali bezpłatnie przybory rysunkowe.

Dalej muszę zaznaczyć pewien dodatni nadzwyczaj zwrot w prasie prowincyonalnej. Zamiast wycinków z kuryerów i pism warszawskich, znajdujemy obecnie cały szereg artykułów treści poważniejszej, tyczących się potrzeb prowincyi. Tak np. w *Echach Płockich i Łomżyńskich* znajdujemy sympatyczny artykulik p. Stefanii Czarnota-Bojarskiej „Co kobiety u nas czytają i co czytać powinny.“ Wystawa hygieniczno-dydaktyczna w Warszawie poruszyła *Rozwój*, *Gazetę Kaliską* i *Echa Płockie* do całego szeregu artykulików i artykułów w kwestyi hygieny. *Goniec Łódzki* zamieszcza głosy w sprawie żydowskiej dotkliwszej w Łodzi, niż gdzieindziej na prowincyi. W *Gazecie Lubelskiej* czytamy pracowity szkic „Flora naszych okolic.“ *Gazeta Radomska* zamieściła kilka artykułów w sprawie wychowania dzieci. Wreszcie z prawdziwą przyjemnością zauważyliśmy próby monografii odrębnych miejscowości, tak np., pomijając od dłuższego czasu spotykane w *Gazecie Radomskiej* sprawozdanie z wycieczek archeologicznych, do rozmaitych miejscowości, obecnie w *Gazecie Kieleckiej* znajduję „Rozwój Kielc w ostatnich latach,“ a w *Echach Płockich* niezłą wcale krótką monografię osady Żuromina, skreśloną przez miejscowego korespondenta *Ech*. Na tej drodze możemy życzyć pismom naszym jak najszczerzej powodzenia.

J. Dąbrowski.

Z nad Warty i Odry.

Kandydatury polskie w Poznańskiem. — Ich widoki w poszczególnych okręgach. — List ks. Czartoryskiego. — Polemika demokratów narodowych z katolikowcami. — Wiece w Gliwicach i Szczakowej. — W Prusach Zachodnich. — Polacy a centrum. —Widoki wyborcze.

Kiedy czytelnicy *Prawdy* będą mieli w ręku tę korespondencyę, walka wyborcza dobiegnie już kresu: będzie już po wyborach głównych. Obecnie ruch przedwyborczy dosięga punktu kulminacyjnego na całym obszarze Niemiec, a więc i polskich dzielnic Prus. Ostatnią korespondencyę pisałem w przededniu zjazdu delegatów, mających ostatecznie zatwierdzić kandydatury we wszystkich okręgach Poznańskiego. Zjazd ten odbył się d. 26 maja. Delegatów było 40. Wynik tajnego ich głosowania wypadł po myśli zwolenników „ostrzejszego tonu,“ niesłusznie zwanych w Poznaniu ludowcami. Cztrech skrajnych ugodowców: Cegielskiego, Dziembowskiego, Kwileckiego, Komierowskiego — pozbawiono możności ubiegania się o mandat, jeden z nich, książę Zdzisław Czartoryski, sam zrzekł się w ostatniej chwili wszelkich pretensyj do kandydowania. Okręgi wyborcze Poznańskiego zostały obsadzone w następujący sposób:

Poznań-miasto oraz powiaty wschodni i zachodni — p. Bernard Chrzanowski (wybrany).

Okr. gnieźnieńsko - witkowsko - wągrowiecki — p. Grabski (wybrany).

Okr. kościańsko-śmigielsko - grodziskonowotomyski — p. Skarżyński (wybrany).

Okr. inowrocławsko-strzelińsko mogileński — p. Krzymiński (wybrany).

Okr. wrzesińsko - jaroszewsko - pleszewski — p. Chłapowski (wybrany).

Ok. odolanowsko-ostrzeszowsko-kempiński — p. Radziwiłł (wybrany).

Okr. krotoszyńsko-koźmiński — ks. Jażdżewski (wybrany).

Okr. rawicko-gostyński — p. Mycielski.

Okr. śremsko - środski — p. Głębocki (wybrany).

Okr. szamotulsko - obornicko - międzychodzko - skwierzyński — p. Mielżyński (wybrany).

Okr. wyrzysko - szubińsko - żniński — p. Czarliński (wybrany).

Okr. wschowsko-leszczyński — ks. Mojzykiewicz.

Ckr. międzyrzecko-babimojski—p. Mielżyński (przepadł).

Okr. Bydgoszcz - miasto i powiat — p. Czarliński (przepadł).

Okr. czarnkowsko-wieluńsko-chodzieski ks. Gajowicki.

Z tych 15 okręgów, na które zostało podzielone Poznańskie, tylko 9 pierwszych można uważać za zupełnie pewne dla kandydatów polskich, ponieważ przy ostatnich wyborach w żadnym z nich większość polska nie obliczała się na sztuki, co mogłoby być wynikiem przypadkowego zbiegu okoliczności, tylko na tysiące — i to od 3,445 (w rawicko-gostyńskim) do 9,722 (w odolanowsko-ostrzeszowskim). W ośmiu z tych okręgów Polacy otrzymali przy ostatnich wyborach przeszło o 5,000 głosów więcej, niż kandydaci niemieccy. W dwóch następnych okręgach będzie się toczyła walka ze znacznymi widokami zwycięztwa, jakkolwiek bardzo ciężka, a wyników jej niepodobna obecnie jeszcze przewidzieć. Przy ostatnich wyborach Polacy mieli w nich większość, ale stosunkowo bardzo nieznaczną — 500 do 800 głosów. Gdyby udało się wybrać i tym razem Polakow w tych dwóch okręgach, to „stan posiadania“ w Poznańskiem byłby zachowany; nie trzeba jednak robić sobie wielkich nadziei wobec sprzymierzenia się wszystkich Niemców przeciwko Polakom.

Właściwie mówiąc, Polakom należy się według wszelkich zasad słuszności bezwzględnej 9 mandatów w Poznańskiem. Przy ostatnich wyborach otrzymali oni 58,5%, inne stronnictwa — 41,5%. A więc, uwzględniając ten stosunek głosów, Polacy nie mogliby przy wyborach proporcyonalnych otrzymać więcej nad 9 mandatów, gdy inne stronnictwa miałyby 6. Trudno jednak w Poznańskiem mówić o stosunkach, uwzględnianych przy wyborach proporcyonalnych, gdyż z jednej strony mnóstwo głosów polskich padło na kandydatów niemieckich, na skutek zależności ekonomiczno społecznej Polaków od Niemców, a z drugiej — za kandydatami polskimi głosowali gdzieniegdzie i Niemcy katolicy, wolnomyślni lub socyaliści. W każdym razie rezultat wyborów ostatnich — 11 posłów Polaków — był dla nas nader korzystny.

Wreszcie i w czterech powiatach, umieszczonych na końcu powyższej tabliczki, kandydaci polscy będą walczyli bez żadnych nadziei, gdyż ich zwycięztwo tam może być jedynie wynikiem jakiegoś kompromisu pomiędzy Polakami a jednem ze stronnictw niemieckich. A na to się obecnie nigdzie nie zanosi.

Zwycięztwo żywiołów opozycyjnych na zjeździe delegatów w Poznaniu rozgoryczyło zwolenników taktyki dotychczasowej. Ponieważ jednak cała niemal opinia publiczna jest po stronie reprezentantów „ostrego tonu,“ przeto nawet taki *Dziennik Poznański* musi się miarkować i poddawać opinii publicznej. Nie umiał się pomiarkować jeden z głośnych filarów polity-

ki serwilizmu pruskiego — książę Zdzisław Czartoryski. Oburzony na upadek kandydatury p. Cegielskiego, ogłosił list otwarty, w którym rzucił się w niegodny wprost sposób na przeciwników politycznych, zarzucając im różne rzeczy, a między innemi przekupstwo przy wyborach. List ten wywołał powszechne niemal oburzenie. Zażądano dowodów. Ks. Czartoryski wykręcił się sianem, oświadczając po dłuższem milczeniu, że złoży dowody przekupstwa — nie publicznie jednak, tylko pięciu prezesom komitetów wyborczych. Takie załatwienie sprawy nie mogło oczywiście zadowolić nikogo, to też grono obywateli z okręgu, na który ks. Czartoryski rzucił oskarżenie, zwróciło się do niego z listem otwartym. Charakterystycznem jest, że list powyższy został podpisany przez zwolenników polityki uprawianej przez niego. Obecnie w pismach poznańskich toczy się polemika w sprawie wystąpienia ks. Czartoryskiego. Polemika ta jednak, przyznać należy, z daleka nawet nie przypomina tego, co się dzieje na Górnym Śląsku i co się odbija w prasie katolickiej i narodowo-demokratycznej.

Obiedwie, zwalczające się wzajemnie strony, sięgają po broń coraz brudniejszą, i nie wiadomo, kto w tej walce kogo prześcignął. P. A. Napieralski, wydawca *Katolika*, czując, że mu się grunt z pod nóg usuwa, broni rozpaczliwie siebie i partyi centrowej, której się zaprzedał bezwzględnie. P. Korfanty, główny kierownik demokratów narodowych, walczy w sposób jezuicki, nie gardząc żadną bronią. Ponieważ p. Korfanty ma dwóch poważnych przeciwników — katolikowców i socyalistów, przeto stara się obydwóch zaszachować ich własną bronią. W odezwach do robotników operuje zręcznie frazesami socyalistycznymi, oświadcza się za 8-godzinnym dniem roboczym itd. Z drugiej strony usiłuje prześcignąć Napieralskiego w klerykalizmie, zarzucając temu ostatniemu... ateuszostwo. Oto, na dowód wyjątek z odezwy *Górnoślązaka*, wydanej przeciwko *Katolikowi*:

„Rodacy! Przeczytajcie sobie wszyscy artykuł *Dziennika Śląskiego* i *Katolika* o p. Korfantym, przeczytajcie go sobie wszyscy, co znacie p. Korfantego i osądźcie sami postępowanie tych zwaryowanych współbraci Niemców. Przyjdzie czas, a z nim zaciąży i odpowiedzialność za te nikczemności na zdrajcach i mordercach sprawy narodowej, którzy nie cofali się przed niczem, byle tylko dogodzić swej pysze. Zwyczajnie jak ludzie głupi i pyszni. *Katolik* jest i będzie najczarniejszą plamą w dziejach naszych. Robi bluźniercą p. Korfantego *Katolik*, bez względu na dobro sprawy polskiej w postaci ohydnej kłamstwa nikczemnego. Zdrajca *Katolik* dostarcza broni księżom germanizatorom, aby zdusili sprawę polską, aby ubili *Górnoślązaka*, aby potem znów mógł wodzić lud za nos i napychać sobie swoją kieszeń. Tę robotę, nieznoszącą światła dziennego, uprawia pismo, którego kierownik, *p. Adam Napieralski, wobec świadków oświadczył, że ni w niebo ni w piekło, ni w Boga ni w dyabła, ni w śmiertelność duszy, ni w jej zbawienie nie wierzy, jest więc zupełnym ateuszem.*“

Ma się rozumieć, że takie argumenty muszą oddziaływać na religijnych wyborców górnośląskich, co wie bardzo dobrze p. Korfanty, „uświadamiający“ ten lud. Wie to i p. Napieralski, więc nie pozostaje dłużnym w odpowiedzi, pisząc, że p. Korfanty miał kiedyś powiedzieć z powodu rzeczy świętych w Kalwaryi: „To bagatela; trzeba przyrzec połom (księżom), że będą mieli obfite dochody z naszego ludu, a wtenczas zobaczy pan, jak ogłoszą światu, że Panu Jezusowi urosła trzecia noga lub szósty palec u nogi, albo też włosy na głowie i będzie już miejsce święte.“ A więc p. Korfanty jest bluźniercą, i wiernemu katolikowi niepodobna nań głosować.

Epilog tej miłej polemiki „politycznej“ rozegra się przed kratkami sądu, bo obiedwie strony wciąż skarżą siebie wzajemnie przed sędziami pruskimi. Zresztą katolikowcy nie gardzą bynajmniej pomocą policyi pruskiej, która sprząta z ich zebrań niemiłych mówców. Na Górnym Śląsku prawo o zgromadzeniach, wydane dla całych Niemiec, właściwie nie istnieje, policya i magnaci kopalniani i rolni (centrowcy) wywierają wprost terorystyczny nacisk na właścicieli sal. Ci ostatni, zagrożeni odebraniem konsensu lub nakazem zamykania lokalu o 9-ej wieczorem, nie mogą dawać sal na zgromadzenia partyj opozycyjnych, z czego korzysta centrum rządowe, niezwołujące żadnych zgromadzeń. Jednakże przed wyborami nawet centrowcom jakoś nie wypada obyć się bez zgromadzenia, więc zwołują je, ale nie wpuszczają na posiedzenie swych jawnych przeciwników, prosząc jednocześnie policyi o usuwanie z sali każdego, kto nie jest zwolennikiem partyi centrum (respect. *Katolika*). W ostatnich czasach odbyło się parę takich wieców na Górnym Śląsku. Opiszę tu przebieg wiecu w Gliwicach.

Charakterystyczne są już same zaproszenia na ten wiec. Brzmią one: „W święto Wniebowstąpienia Pańskiego, we czwartek, d. 21 maja, wieczorem o godzinie w pół do 8-ej, na wielkiej sali „Nowego Światu“: Zgromadzenie polsko mówiących wyborców, którzy na zasadzie centrowej stoją i jako tacy kandydatowi centrum głos swój dać zamierzają. Tylko tacy mają wstęp do zgromadzenia. Odczyt wielm. p. ks. dr. Stephana z Berlina. Do licznego udziału upraszają: Bucheli, proboszcz; Stryczek, proboszcz; Jaglo, kurator.“ Ta niegramatyczna kartka, rozrzucona w całym okręgu, zgromadziła w sali naturalnie nietylko „stojących na zasadzie centrowej,“ ale głównie zwolenników kandydatury p. Siemianowskiego (*Górnoślązak*) i p. Trąbalskiego (*Gazeta Robotnicza*). Księża kręcą się po sali z twarzami zakłopotanemi, z troską na czołach. O godzinie 8-ej trzech z nich siada przy stole prezydyalnym. Ks. Stryczek zagaja wiec okrzykiem na cześć papieża i cesarza. Centrowcy i demokraci narodowi podnoszą w górę ręce i wołają: „Niech żyje!“ Na sali mnóstwo policyantów, na czele radca Maedler z Bytomia. Główny agitator centrowców na Górny Śląsk, nowomianowany redaktor *Gazety Katolickiej* (organ germanizatorów katolickich), ks. Stephan, zabrał głos i mówił przez jakie 10 minut bez przerwy. Nareszcie postawił pytanie, na które chciał sam odpowiedzieć: „Co też centrum zrobiło dla robotników?“ Zebranie odpowiedziało samo. Z tysiąca piersi robotniczych zabrzmiała jedna odpowiedź: „Nic! Nic!“, poczem nastąpił hałas piekielny. Wiecownicy zrywają się z krzeseł. Brzmi okrzyk: „Precz z Ballestremem! Precz z centrum!“ Ten ostatni okrzyk powtarza się coraz głośniej. Ks. Stephan stara się tłum uspokoić, radzi wysłuchać spokojnie, a potem w domu się nad tem zastanowić, co było mówione, to znaczy rozejść się bez żadnej dyskusyi. Nowy hałas: precz z wami! precz z centrum! Nareszcie następuje chwila spokoju. Ks. Stephan ciągnie dalej: „Dawniej robotnik musiał i w niedzielę pracować. Teraz nie wolno. To zasługa centrum...“ Znowu się zrywa hałas i setki robotników wołają: „Nieprawda! Kłamstwo! Precz z centrum! To zasługa demokratów społecznych — nie wasza! Wasza zasługa to drogi chleb! Precz z Ballestremem!“ Wrzawa trwa znowu kilka minut. Ksiądz Stephan w końcu ją opanowywa i mówi dalej: „Dawniej kapitalista mógł ostre kary na robotnika nakładać, teraz nie...“ Zebrani znowu przerywają: „Kłamstwo! Dosyć kar nam każą płacić! Precz z centrum!“ Ksiądz Stephan traci równowagę, ale jeszcze mówi: „Dawniej nie wolno było się gromadzić w towarzystwa i zebrania, a teraz wolno...“ Prawie wszyscy zgromadzeni krzyczą: „Kłamstwo! Precz z nim! Niema na Górnym Śląsku wolności zebrań i zgromadzeń! To wasza robota! Precz z Ballestremem! Precz z centrum!“ Ks. Stephanowi nie udaje się już opanować hałasu. Słychać tylko okrzyki na cześć Trąbalskiego i Siemianowskiego, oraz złowrogie: precz z centrum! Przewodniczący, ks. Stryczek, woła rozpaczliwie: Wzywam wszystkich, którzy do partyi centrum nie należą, aby opuścili natychmiast salę! Tysiączny tłum zrywa się z krzeseł i sunie z okrzykiem ku wyjściu. Ze wszystkich stron sypią się odezwy za Trąbalskim. Robotnicy niszczą druki centrowego „Volksvereinu,“ leżące na stołach. P. Siemianowski przemawia z krzesła do swych zwolenników. Policya rzuca się na niego i wyprowadza z sali. Czyni to samo z resztą przeciwników centrum, którzy nie opuścili jeszcze sali dobrowolnie. Nareszcie w sali pozostaje zamiast 1,200 — coś 400 wiecowników. Ale i ci wciąż przerywają ks. Stephanowi, a po skończonej mowie wznoszą okrzyki na cześć Siemianowskiego i Trąbalskiego. W ogrodzie, dokąd wychodzą po skończonem zebraniu, powtarza się to samo. Centrowcy uciekają w karetach, a po drodze robotnicy spotykają ich okrzykami: „Precz z Ballestremem! Precz z centrum!“

Jak przebieg tego wiecu pokazuje, bankructwo centrowców w okręgu Ballestrema nie ulega wątpliwości. Ciekawe, że sam p. kandydat nie ośmielił się nawet zjawić przed swymi wyborcami. Księżom, którzy na wiecach agitują za Ballestremem, robotnicy krzyczą na zgromadzeniach: na ambonę z wami! do kościoła a nie do polityki! Centrum liczy się już z możliwością nieprzejścia hr. Ballestrema w jego dotychczasowym okręgu wyborczym i stawia jednocześnie jego kandydaturę gdzieś w Westfalii.

Robotnicy górnośląscy, nie mając możności zwołania zgromadzenia na własnych śmieciach, urządzili się w następujący sposób. Mianowicie udali się do Szczakowej, położonej na gruncie galicyjskim i tam zwołali zgromadzenie ludowe, na którem przemawiali tak działacze górnośląscy (Haase, Trąbalski) jak i galicyjscy (Daszyński, dr. Gumplowicz). W ten sposób Galicya już nie po raz pierwszy przyszła z pomocą Górnoślązakom.

W Prusach Zachodnich położenie niezmienione. Redaktor *Gazety Grudziądzkiej* p. Kulerski, rozwija niezmordowaną agitacyę w swym okręgu, jak wiadomo, utraconym przy poprzednich wyborach. Odzyskanie tego okręgu jest bardzo prawdopodobnem. W Prusach Wschodnich w okręgu szczytnieńsko-sądźborskim ma pewne widoki p. Lewandowski z Poznania, postawiony przez miejscową organizacyę mazurską. Zresztą agitacya na Mazowszu pruskiem jest zupełnie zaniedbana, *Gazeta Ludowa* z Ełku nie została wznowiona i lud, budzący się do świadomości, jest pozostawiony sam sobie. Fanatyzm katolicki społeczeństwa poznańskiego staje na przeszkodzie wszelkiej szerszej działalności politycznej wśród Mazurów-protestantów.

Prowadzi się natomiast dość energiczna akcya na przeciwległych krańcach obszaru polskiego — w okręgu babimojsko-międzyrzeckim. Kandydat polski tego okręgu, hr. Mielżyński, z całą energią zabrał się do dzieła, zwołując wiece w okolicach mocno zniemczonych lub zacofanych pod względem uświadomienia narodowego. Odbyły się wiece w Zbąszyniu, w Borni, w Wolsztynie, w Kosieczynie, Kembłowic, Wroniawach, Pszczewie, Łodzinie, Głożewie, Dormowie, Kramsku, Babimoście, Kopanicy, Kargowie itd. W niektórych z tych miejscowości wogóle jeszcze nie było wie-

ców polskich. Przybywają na nie głównie robotnicy rolni, pracujący u niemieckich właścicieli posiadłości ziemskich. Pod wpływem agitacyi hr. Mielżyńskiego w zapadłych wsiach, na granicy Brandenburgii, chłopi polscy, otoczeni Niemcami, poczęli prenumerować polskie gazety ludowe. Gdzie nie można było zwoływać wieców, p. Mielżyński zgromadzał po kilkunastu gospodarzy do jakiejś chałupy i tłomaczył im znaczenie wyborów. W tym okręgu wszyscy Niemcy idą razem przeciwko kandydatowi polskiemu, a niemieccy właściciele ziemscy wywierają szalony nacisk na zależnych od nich robotników rolnych.

W innych okręgach występuje po kilku kandydatów niemieckich, ale, na ogół biorąc, nie znać już dziś tego rozstrzelenia głosów niemieckich, jakie dawało się zaznaczyć przy ostatnich i przy przedostatnich wyborach. Niema też widoków, aby centrowcy głosowali gdzieś za Polakami. Nawet w takim okręgu leszczyńsko-wschowskim, o którym pisaliśmy w poprzedniej korespondencyi, centrowcy już paktują z konserwatystami i liberałami w celu wspólnej akcyi przy wyborach ściślejszych. W tym okręgu kandyduje centrowiec ks. Tasch i Polak — również ksiądz, Majczykiewicz. Ciekawem jednakże jest, że spory zastęp księży-*Polaków* agituje za Taschem.

Niepodobna z zupełną pewnością przepowiedzieć, jaki będzie wynik wyborów w polskich dzielnicach Prus. Strata jednego okręgu w Poznańskiem jest zdaje się nieunikniona. Natomiast odzyskanie jednego okręgu w Prusach Zachodnich, straconego przy poprzednich wyborach, nie jest nieprawdopodobnem. W ten sposób liczba członków Koła nie uległaby zmianie, gdyby nawet na Górnym Śląsku nie przyszło do wyboru żadnego z kandydatów *Górnoślązaka*. Zdaje się jednak, że dwóch jego kandydatów może liczyć na zwycięztwo. W najszczęśliwszym wypadku Koło urosłoby do 17 członków. Zmieniłby się tylko do pewnego stopnia charakter tego klubu, gdyż jawni zwolennicy polityki serwilistycznej z jednej strony, a czysto agrarnej z drugiej, stanowiliby w nim mniejszość.

Pośrednik.

Nowa organizacya w fabryce.

Pod tym nieco pretensyonalnym tytułem wydał Freese książkę, w której głównie zajmuje się opisem i oceną organizacyi niemieckiej słynnej fabryki optycznej w Jenie pod firmą Karol Zeiss. Tę organizacyę stworzył kierownik zakładu, profesor Abbe. Polega ona na tem, że od r. 1897 przyznane zostało robotnikom zakładu, w liczbie około 1,100, prawo stałej reprezentacyi wobec dyrekcyi. Już dawniej w pewnych poszczególnych wypadkach robotnicy wybierali komisye w celu porozumienia się z dyrekcyą; ale były to komisye czasowe, *ad hoc* tylko powstające, potem rozwiązywane. Jednak dyrekcya, mając wówczas na widoku różne ważne zmiany, chciała, jak się sama wyraża, mieć do czynienia stale z takiem przedstawicielstwem robotników, żeby mogła być pewną, że jak z tem przedstawicielstwem o coś się ułoży, to i ogół pracujących na to się zgodzi. W tym celu utworzona została stała reprezentacya robotników, wybieralna; prawo wyborcze do niej mają wszyscy robotnicy od lat 18, płatni tygodniowo, nie miesięcznie: w ten sposób wykluczeni są urzędnicy zakładu, pozostają jedynie właściwi robotnicy. Jeden przedstawiciel przypada na 15 robotników; wybierani są przez poszczególne warsztaty i oddziały fabryki, tak aby wszystkie kategoryc były reprezentowane. Wyborami kieruje nie dyrekcya, lecz komisya z trzech najstarszych robotników każdego oddziału. Głosowanie jest tajne kartkowe.

Statut fabryki przyznaje tej komisyi prawo: *a*) zbierania się kiedy uzna za stosowne, nietylko na wezwanie dyrekcyi; *b*) wypowiadanie swej opinii w każdej sprawie, dotyczącej organizacyi i biegu pracy w fabryce. Komisya wybiera sobie przewodniczącego, który ją zwołuje. Posiedzenia odbywały się z początku co dwa tygodnie, później — co miesiąc, wreszcie postanowiono zwoływać je w miarę potrzeby. Przewodniczący może zapraszać na nie dyrekcyę, lecz w takim razie musi na parę dni przedtem zawiadomić ją, jaki będzie porządek dzienny zgromadzenia, względnie — stawiane interpelacye. Prowadzone są szczegółowe protokóły posiedzeń i wywieszane ich kopie w warsztatach na równi z ogłaszaniem dyskusyj.

Od czasu swego utworzenia komisya robotnicza fabryki optycznej firmy Karola Zeissa zajmowała się głównie następującemi sprawami: rewizyą umowy najemnej, rozszerzeniem emerytur, ubezpieczeniem rodzin robotników, kwestyą mieszkań dla robotników, wypłatą pensyi podczas przymusowej nieobecności robotnika, np. podczas ćwiczeń wojskowych rezerwistów; sklepem spożywczym przy fabryce, łazienką, kwestyami poszczególnemi, jak: nieporozumieniami co do płac, wydaleniami; dalej — komisya roztrząsa doroczne sprawozdanie finansowe dyrekcyi i wypowiada swe zdanie co do wysokości udziału w zyskach, który zapewniony jest robotnikom na mocy statutu tej fabryki. Wreszcie komisya roztrząsała kwestyę wprowadzenia 8-godzinnego dnia roboczego; ze względu na wyjątkową jej ważność wezwano też wówczas wszystkich robotników do bezpośredniego głosowania w tej sprawie i 8-godzinny dzień roboczy został rzeczywiście wprowadzony. Wogóle, większość poruszonych spraw została załatwiona za zobopólnem porozumieniem.

Komisya rozwijała się stopniowo, stopniowo usuwane były różne jej braki, wprowadzane nowe formy. Tak np. delegaci z początku nie posiadali potrzebnej odwagi. Chociaż sam zarząd fabryki zaznaczał wielokrotnie, że zależy mu na tem, aby mieć do czynienia z takimi delegatami, którzy całkiem odważnie będą wypowiadali skargi i pragnienia swych wyborców, bo tylko w ten sposób można uniknąć ostrych i szkodliwych nieporozumień, to jednak wybrani myśleli z początku, że taka szczerość zaszkodzi im w oczach dyrekcyi. Dopiero z czasem przekonali się, jak obawy ich były w danym wypadku nieuzasadnione, i odtąd przedstawiają wiernie nastrój ogółu pracujących. Dalej, wadą była zbyt wielka ilość delegatów — 68. Z tak liczną komisyą trudno było rozprawiać dyrekcyi, a jednak nie chciano tej liczby zmniejszyć, bo wówczas nie wszystkie kategorye robotników byłyby reprezentowane. Zaradzono więc złemu w ten sposób, że komisya wybiera podkomitet z 7 osób, i ten, wraz z przewodniczącym, omawia sprawy bieżące i prowadzi układy z dyrekcyą. Ten podkomitet zaś otrzymuje od pełnych posiedzeń komisyi robotniczej ogólne dyrektywy postępowania.

W początku r. 1902 ta komisya postawiła dyrekcyi żądanie znacznego rozszerzenia swych praw, mianowicie: aby zamiast głosu doradczego, jak dotychczas, dano jej moc decydowania, wspólnie z dyrekcyą, o wszystkich sprawach, dotyczących: zmniejszenia płacy akordowej, nowego podziału pracy, oraz wydalania lub zawieszania robotników. Żądała dalej utworzenia stałego sądu polubownego, któryby rozstrzygał w ostatecznej instancyi w razie niezgody na jednym z tych punktów między dyrekcyą a reprezentacyą robotniczą. Lecz dyrekcya stanowczo odrzuciła te żądania, motywując tem swoją odmowę, że kierownictwo faktyczne może przysługiwać tym tylko, którzy ponoszą za nie odpowiedzialność. Komisya więc pozostała nadal wyłącznie organem doradczym i pośredniczącym między robotnikami a dyrekcyą, przyczem dyrekcya przyznała jej wyraźnie prawo stawiania interpelacyi i zobowiązała się do udzielania motywowanych odpowiedzi. Dlatego też powiedzieliśmy, że nazywanie tej organizacyi „systemem konstytucyjnym w fabryce“ jest pretensyonalne: o systemie konstytucyjnym mogłaby być mowa dopiero wtedy, gdyby prawodawstwo wewnętrzne fabryki zależało od zgody reprezentacyi robotników i gdyby dyrekcya za wszystkie swoje czyny była przed tą reprezentacyą odpowiedzialna — a o tem przecie niema mowy wcale.

Zresztą, pamiętać trzeba o wyjątkowych czynnikach, sprzyjających w danym wypadku istnieniu takiej nawet organizacyi: mamy tu do czynienia z robotnikami, choć licznymi, ale wysoce wykwalifikowanymi, więc przez to prawie bezwzględnie stałymi, i z przedsiebiorstwem, faktycznie pozbawionem prawie zupełnie konkurencyi, nie narażonem na wahania w produkcyi itd.

Przypominamy sobie próbę wprowadzenia czegoś podobnego w przedsiebiorstwie innego rodzaju: przed trzema coś laty, Waldeck-Rousseau, ówczesny prezes ministrów we Francyi, obrany sędzią polubownym między strajkującymi robotnikami a dyrekcyą olbrzymich zakładów metalurgicznych Schneidera w Creusot, w wyroku swym zobowiązał dyrekcyę do wysłuchiwania co miesiąc delegatów oddziałowych, wybieranych przez robotników w głosowaniu powszechnem i tajnem. O ile nam wiadomo jednak, skromna ta instytucya faktycznie nie weszła w życie, albo też bardzo rychło przestała istnieć.

Erka.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

List pasterski wilka.

Naszą prasę poruszył w tej chwili do głębi list pasterski arcybiskupa wrocławskiego Koppa, wymierzony przeciwko polskości i socyalnej demokracyi na Górnym Śląsku. Publicyści i politycy nasi, pokrywszy milczeniem atak biskupa na socyalną demokracyę, zajmują się wyłącznie atakiem jego na polskość, biją się w piersi i przysięgają, że są gorliwymi katolikami, ale z całą energią protestują przeciwko wprowadzaniu polityki niemieckiej do kościoła. W tej orkiestrze skrzypiec nie potrzebujemy bynajmniej brać na siebie roli mazurskiej basetli z owym ludowym refrenem: „gadał ja, gadał ja“, gdyż wszystkie zastępy współpracowników pisma naszego od chwili powstania *Prawdy* aż do dnia dzisiejszego wygrywały ten refren ale bez współudziału skrzypiec. Moglibyśmy tedy, założywszy ręce, czekać tylko spokojnie wyników walki, do której pierwsi grywaliśmy zwykle pobudki; moglibyśmy w niej wziąć udział w rozmiarze zakreślonym przez inne pisma; byłoby to jednak obecnie pływaniem za falą. Zadanie nasze nie na tem polega. Winniśmy przy tej sposobności upomnieć się o wszystkie krzywdy, jakie nas spotykają ze strony wilków, piszących owe pasterskie listy do baranków i owiec. Winniśmy uprzytomnić publiczności, że za owym

wilkiem-delegatem czai się silnie zorganizowana czarna armia, uprawiająca wszechświatową politykę, zawierająca przez wodzów swoich przymierza zaczepno-odporne, zrzekająca się jednych dzielnic, aby otrzymać drugie, poświęcająca słabych swych szeregowców na korzyść silnych wodzów, działająca stale i konsekwentnie „ad majorem gloriam Romae.“

Arcybiskup Kopp wraz ze swym wilczym listem pasterskim nie stoi w odosobnieniu. Pisma wiedeńskie mniemają, że treść tego listu była subtelnie rozważona w Watykanie podczas wizyty Wilhelma II. A więc za plecami kardynała Koppa dźwiga się starcza postać dyktatora katolicyzmu i daje sankcyę słowom swego podwładnego. Kler nie składa się z wolnopraktykujących księży, jak np. kasta inżenierów lub lekarzy. Jest to potężna hierarchia, związana węzłami wojskowej karności. Gdzieś na głuchej wsi, gdzie polityka nie sięga, gdzie czarna armia rozprasza się w tyralierkę, zawsze znaleźć możemy przepiękne typy księży Piotrów czy to wielkiego kalibru Mickiewicza, czy znacznie mniejszego kalibru Tetmajera. Tam ksiądz wyrasta ze swej społeczności i jej tylko jest oddany. Ale wyżej, gdzie już się poczyna szumne morze zagadnień politycznych, tam pojawia się nie „wolny strzelec,“ ale karny szeregowiec, słuchający komendy, obmyślonej i wydanej rzekomo w imię Boga na niebiosach a w istocie w imię Rzymu, który łaknie władzy na ziemi. Fakt ten, jasny i wyraźny dla każdego nieuprzedzonego umysłu, występuje najjaskrawiej we Włoszech. Zjednoczony półwysep italski, który od pół wieku dźwiga się z niesłychanego upadku moralnego i materyalnego ku nowemu życiu ojczystemu, ma na wzgórzu watykańskiem gniazdo wiecznej zdrady. Tam Włoch, przybrany w sutannę, otwarcie spiskuje przeciwko swojej ojczyźnie, przeciwko swemu rządowi; marszczy się na wszystkich politycznych sojuszników swej włoskiej ojczyzny i popierać będzie wszystkie machinacye jej wrogów. Pisma nasze, które mają na zawołanie sprawiedliwość i sumienie tylko wtedy, gdy chodzi o polityczne koło, zakreślone końcem ich nosa, powtarzają z rozkoszą wszystkie plotki o tem, że jeżeli prezydent rzeczypospolitej francuskiej poważy się złożyć wizytę królowi włoskiemu, to go papież nie przyjmie; sumienie ich, cierpiąc na charakterystyczny daltonizm, nie widzi oczywistej zdrady papieża, dokonanej na włoskiej ojczyźnie, nie widzi tej italskiej zdrady, która się rozsiadła na wzgórzu watykańskiem, nie widzi, że jest to ustawiczny Hannibal „ante portas“ Rzymu. U bram Watykanu kończy się ich miara patryotyczna. Co Leon XIII robi na półwyspie Apenińskim, to za jego wiedzą i wolą robi kardynał Kopp na Górnym Śląsku; ta sama zdrada dokonana na ludności polskiej. Za srebrniki politycznych korzyści sprzedaje się naród, prostaczą wiarę ludu sprzedaje się pod najbezczelniejszem hasłem, jakie zna historya, pod hasłem: „Bóg tak chce.“

Dawny rycerz krzyżowy, nawracający ogniem i mieczem dawno nawróconych, zdjął pancerze, odrzucił miecze, wdział sutanny i tyary a w rękę ujął znamię męki i ofiary, lecz nie po to, by cierpieć i być ofiarą, lecz aby gnębić i tworzyć ofiary. Takim krzyżakiem w sutannie jest arcybiskup Kopp.

Ale dawny krzyżowiec był chytry, był kłamcą. I tę jego cnotę przejął współczesny krzyżak w sutannie. Dzieci moje, woła Kopp, czyż szczęście i zbawienie człowieka polega na narodowości i języku? Niebawem zdejmiecie z siebie tę ziemską powłokę i staniecie przed Sędzią Najwyższym. Kopp, kłamiąc, ani się zawaha. Bo przecież pierwszy lepszy Górnoślązak mógłby mu powiedzieć: ekscelencyo, więc poco apostołujesz niemczyznę? Niebawem zdejmiesz z siebie tę ziemską niemiecką powłokę i staniesz przed owym twoim Sędzią Najwyższym razem z nami. Tam istotnie wyrównają się wszystkie narody i języki. My na Górnym Śląsku jesteśmy Polakami z przyrodzenia; to ty tworzysz kwestyę, nie my; ty wnosisz nam niemczyznę i politykę. To twoi księża robią z konfesyonałów agenturę agitacyjną wszechniemieckości. Ale pomnij, że polityka, na którą się ważyłeś, niezależnie od tego, że jest podła, że jest nikczemna, jest jeszcze bezrozumna. Tak, u twego dyktatora watykańskiego brakło również tego rozumu, jeżeli ważył się na walkę z przyrodą polską; może ją przez pewien czas dusić, może ją nękać, ale nie wypleni, bo—bo to właśnie przyroda, bo to jest naturalne, bo wszelkie krzewienie czegoś innego jest sztuczne i na dłuższą metę zawodne.

Rzym jest zawsze wierny swej zasadzie. On chce być tem źródliskiem światła ludzkiego, będzie zasypywał wszelkie inne źródliska i to nawet wtedy, a raczej szczególniej wtedy, gdy na niego samego przychodzi zaćmienie. Wszędzie, gdziekolwiek zjawia się samorodnie błysk w duszy ludzkiej, będzie go tępił przez swoich Koppów. Gdziekolwiek pojawi się po za nauką Watykanu jakaś wiedza, potępi ją; będzie prowadził na stos uczonych, myślicieli, będzie potem prowadził na sprzedaż całe narody, które się upomną o swoje prawa. Nie chodzi mu o religię, ale o bezwzględne posłuszeństwo, nie chodzi mu o wiarę, ale o panowanie.

I dlatego wejdzie w sojusz z każdym, który przedstawia jakąś siłę. Górnoślązak zwróci się do Rzymu jak rozczulone dziecię, poprosi o język polski w kościele — a Rzym da mu — sto dni odpustu z mąk czyścowych. Górnoślązak będzie najwierniejszym synem kościoła, a Rzym odstąpi go Wilhelmowi II, który musi być wrogiem katolicyzmu. Górnoślązak pójdzie do Rzymu błagać o bullę opiekuńczą, a otrzyma—święty obrazek i napomnienie, aby słuchał „najukochańszego syna“ arcybiskupa Koppa.

Dla Górnoślązaka, co najmniej dla niego, katolicyzm, jeżeli jest podporą moralną, to podporą o ostrym zadziorze, który mu wchodzi w bok i rani go śmiertelnie. Lud Górnośląski dochodzi do tego uświadomienia nie na podstawie naszych artykułów, ale na podstawie jaskrawych faktów, których działanie czuje na własnej swojej skórze. Bo, pytam, cóż więcej mogłoby mu się stać, gdyby był protestanckim? Wtedy rząd niemiecki nasłałby na niego nie jakiegoś arcybiskupa, ale jakiegoś superintendenta, czy jak się oni tam nazywają, który mówiłby mu to samo, co dziś mówi Kopp. Otóż dla ludzi, którzy z katolicyzmu i z polskości chcą zrobić dwa trójkąty przystające, zdarzenia, jakie się pod egidą Rzymu dzieją na Górnym Śląsku, powinny być nauką. A może ludzie ci zaprzeczą doniesieniom pism wiedeńskich? Może będą mniemali, że Rzym jest innego zdania? Czemu tedy Rzym nie poskromi jawną bullą nieposłusznego lub samowolnego arcybiskupa? A może poprostu—nie wie o niczem? To czemże on jest w takim razie, jeżeli nie wie, co się dzieje w jego własnej owczarni?... Nie! Gdyby arcybiskup Kopp na jedną sekundę zboczył z drogi, wytkniętej przez Watykan, zostałby w ciągu jednej doby odwołany i przeniesiony w inną okolicę. Rzym oporu nie znosi, rządzi despotycznie, rządzi konsekwentnie.

Zresztą Kopp nie popełnił tego sam. Telegram własny *Gazety Polskiej* z d. 11 b. m. donosi: „*Głos śląski* ogłasza listy księży niemieckich do parafian, wzywających ich do porzucenia *Głosu śląskiego* pod groźbą wyłączenia od przyjęcia sakramentów świętych.“ Twierdzi dalej, że Górnoślązacy chcą apelować do Rzymu. Znakomicie. Rozwieje się ostatnia ułuda. Rzym w całej rozciągłości stanie po stronie swego purpurata, a najniezawodniej na apelacyę odpowie wymownem milczeniem. Pielgrzymom, przybywającym do Rzymu, powie z westchnieniem: „Conesco vestra dura tempora sub regno Borussiae,“ a jawnie wezwie Górnoślązaków do posłuszeństwa klerowi, który, uważając narodowość za rzecz przemijającą i niewartą zabiegów, będzie nie dopuszczał do sakramentów tych Polaków, którzy nie chcą zostać Niemcami.

A my? A my cóż na to? Zadowolimy się tem, że papież przyśle swe błogosławieństwo Deotymie, lub jakiegoś nauczyciela-klerykała nagrodzi orderem. Będziemy się rozpływali ze szczęścia za ten akt łaski. Będziemy udawadniali, że tu zawinił wyłącznie Kopp-człowiek a nie Kopp-arcybiskup. Będziemy mówili: otwierać oczy ludowi na politykę Rzymu, to znaczy odbierać mu wiarę....

Nie, panowie żywi nieboszczycy! Górnoślązakom nie potrzeba otwierać oczu na politykę Rzymu. Lud górnośląski sam, sam dochodzi do tych wniosków, które tu wysnuwamy. Nie ujmie ich może w tak wyraźne twierdzenia, nie wystylizuje ich tak; ale jego prostacza skarga będzie kapała krwią bólu, bo on serce z piersi sobie wyrywał i rzucał pod stopy Watykanu. A Watykan „Lux de luce“, „Lumen de coelo“ itd. itd. uśmiechał się uśmiechem polityka, składał to krwią ociekające serce do swoich archiwów i posyłał Górnoślązakom tytułem ojcowskiego odwzajemnienia się — kardynała Koppa z jego listami pasterskimi.

Kiedy nasze gromady pątnicze ujrzą na Piotrowym tronie władcę katolicyzmu, z płaczem, nie, z rykiem nieludzkim padają na twarze, tarzając się w bólu i skardze. Włosi, którzy temu wylewowi uczuć asystują, są bardziej powściągliwi. Biją poprostu oklaski, jak w teatrze, wołając: „Bravo papa re!“

Ale większość Włochów jeszcze inaczej postępuje. Na wzgórzu Janicolo, wprost Watykanu, wystawili olbrzymi posąg konny Garibaldiego z podpisem na piedestale: „Roma e morte“ (Rzym albo śmierć). Ilekroć Leon XIII chce przez okno wyjrzeć na stolicę Włoch, zasłania mu ją groźna postać Garibaldiego.

Niech Górnoślązacy, którzy są równie gorliwymi katolikami jak Włosi, pomyślą o takiem wzgórzu Janicolo, a w tej chwili Leon XIII pocznie się z nimi liczyć. Wtedy może odwoła arcybiskupa Koppa i przyśle na jego miejsce takiego dostojnika, który cały ów słynny list pasterski, bez zmian, tak, bez jakichkolwiek zmian, skieruje do Centrum, do pruskich ministrów i pruskich landratów. Bo w takich listach pasterskich trzeba nieraz, aby były znakomite, sprawiewiedliwe, bez zarzutu — zmienić tylko adres.

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

O postępach chemii,

STOSOWANEJ DO PRZEMYSŁU.

(Dokonczenie).

Elektryczność wogóle coraz więcej jest wprzęgana do przemysłu chemicznego. Pod wpływem wysokich ciepłot w piecu elektrycznym wytworzono wprost z węgla sztuczne dyamenty (Mois-

san); z krzemu i węgla —karborund, pyszny, twardy proszek szlifierski (Acheson); wreszcie węgliki (z cudzoziemska karbidy), czyli związki węgla z różnymi metalami. Najważniejszym z nich w życiu codziennem jest węglik wapnia, z którego pod wpływem wody otrzymujemy acetylen, gaz powszechnie dziś używany do oświetlania. Trzeba jednak dla sprawiedliwości wspomnieć w tem miejscu, że dziś i drogą chemiczną mogą być otrzymywane tak wysokie temperatury, o których się dawniej nie śniło. Naprzykład palenie się glinu (aluminium), sproszkowanego na powietrzu (reakcya Goldschmidta), daje tyle cieplika, że można otrzymywać tą drogą w odpowiednim piecu też same, sztuczne dyamenty (Hasslinger), wytwarzane, jak wiadomo, dawniej tylko w piecu elektrycznym. I glin obecne, szerokie swe rozpowszechnienie zawdzięcza li tylko elektrolizie swych soli, głównie minerału kryolitu.

Dalej, elektryczność wypiera coraz bardziej gaz oświetlający. Gaz ten otrzymuje się przy suchej dystylacyi węgla kamiennego. Zdawało się, że ten dział przemysłu chemicznego będzie się musiał skurczyć. Nie! nawet się ciągle rozwija; raz dlatego, że gaz oświetlający zaczyna być używany do opalania np. kuchen i jako siła poruszająca: na ostatniej wystawie paryskiej pokazywano motor gazowy o sile 600 koni; powtóre, że dzięki udoskonaleniu palników (koszulki auerowskie z tlenku metalu toru) siła oświetlająca gazu świetnie została wzmocniona; wreszcie przy suchej dystylacyi węgla kamiennego otrzymują się prócz gazu oświetlającego i inne nader pożyteczne produkty, jak: amoniak, fenol czyli kwas karbolowy, koks a następnie benzol, anilina, naftalina, antracen, związki, z których chemicy pełną ręką czerpią materyał do wytwarzania nowych, przeróżnych, sztucznych barwników o przepięknych odcieniach, różnorodnych substancyj wonnych i środków lekarskich, zastępujących z wielkiem powodzeniem dawne naturalne barwniki, pachnidła i leki. Faktem epokowym w farbiarstwie było otrzymanie w 1856 roku przez chemika angielskiego, Perkina, fioletu anilinowego, a wkrótce potem przez Francuzów, braci Renard, czerwieni anilinowej, czyli fuksyny. Po nich otrzymano inne, i dziś istnieje cała masa sztucznych barwników o nieporównanych tonach i odcieniach. Jeżeli pewne barwniki naturalne z racyi swej trwałości i piękności nie dawały się zastąpić przez inne, postarano się je otrzymać sztucznie. Mamy tu na myśli czerwień marzannową i niebieskie indygo. Pierwsza z nich znajduje się w korzeniach marzanny (*Rubia tinctorum*). Marzanna niegdyś całymi łanami pokrywała południe Francyi, z tej racyi, że Napoleon III zalecił dla swej armii spodnie czerwonego koloru. W 1870 r. np. produkcya jej w jednym departamenci Vaucluse wynosiła 14,000 ton; dziś upadła zupełnie. A stało się to z tego powodu, że czerwień naturalna, marzannowa została zupełnie wyrugowana przez alizarynę, główną część składową tej czerwieni, otrzymaną sztucznie przez chemików niemieckich, Graebego i Libermanna, w 1868 r., z antracenu, znajdującego się, jak wiadomo, w smole węglowej; i dziś armia francuska chodzi po dawnemu w spodniach czerwonych, ale są one, niestety, barwione sztuczną alizaryną niemiecką.

Tak samo rzecz się miała z indygiem. Choć ten naturalny barwnik zupełnie jeszcze przed sztucznym nie skapitulował i w dużej ilości po dziś dzień głównie z liści indygowca (*Indigofera tinctoria*— mały krzaczek, rosnący w Indyach, na Jawie, w Chinach, Japonii, Brazylii, Meksyku i Egipcie) jest otrzymywany, coraz to cięższą jednak walkę staczać musi. Syntezę indyga sztucznego zapoczątkował znakomity chemik niemiecki, Baeyer, w r. 1878. Nawiasem mówiąc, istnieje dziś w Niemczech w dziale sztucznego indyga około 40 różnych patentów. Wspomniana wyżej wielka fabryka badeńska aniliny i sody produkuje dziś indygo sposobem Heumanna, a za materyał w tej produkcyi służy nadzwyczaj tania i dostępna naftalina, znowu część składowa tej samej smoły z węgla kamiennego.

Nietylko barwniki są dziś na wielką skalę sztucznie przez chemię produkowane, ale i substancye wonne. Z tej samej smoły węglowej otrzymywane są np. nitrobenzol i aldehyd benzoesowy (z benzolu), posiadające zapach gorzkich migdałów; nawet sztuczne piżmo z tego samego źródła otrzymane być może. Szczegółowe badania teoretyczne chemików wykazały dalej, że niektóre rzadkie a piękne zapachy mogą być otrzymywane z roślin dostępniejszych, więc tańszych. Jonon np., posiadający zapach fiołków, otrzymuje się syntetycznie z cytralu, jednej ze składowych części olejku cytrynowego. Otrzymane też zostały syntetycznie wanilina, heliotropina i wiele, wiele innych tym podobnych związków.

Przenieśmy się teraz z krainy barwy i zapachów w krainę chleba powszedniego. Mamy tu na myśli rolnictwo i nawozy sztuczne Weszły one w powszechne użycie do użyzniania roli, odkąd sławny chemik niemiecki, Liebig (1803—1873) wykazał, czem się właściwie odżywiają organizmy zwierzęce i roślinne, i co musi zawierać gleba urodzajna. Do składników tutaj, między innemi, niezbędnych, z których się gleba prędko wyczerpuje, należą: sole potasowe, sole kwasu fosforowego czyli fosforany i sole kwasu azotowego, czyli azotany. Bogate pokłady soli potasowych w Niemczech w Stassfurcie, u nas w Galicyi w Kałuszu, składające się głównie z minerałów karnalitu i kainitu, długo zapotrzebowaniom wystarczą. Zapasy kainitu w rządowych kopalniach w Kałuszu obliczają np. na 5 milionów cetnarów metrycznych i choć kainit kałuski jest bogatszy co do wartości potasu (12%) od stassfurckiego (10%) mało go dotąd ze szkodą dla rolnictwa naszego eksploatują.

Co zaś do fosforanów, dostarczają ich kości (mąka kostna), główna bowiem część składowa kości jest fosforan wapnia; następnie fosforyty kopalne, które są również fosforanem wapnia. Fosforyty mielą, poddają działaniu kwasu siarczanego i w postaci tak zwanego superfosfatu, który łatwiej ulega w ziemi przetworzeniu, używane są do uprawy. Z powodu zwiększających się zapotrzebowań powstają wciąż nowe fabryki nawozów sztucznych; a z przemysłem tym jest nierozłącznie związany rozwój przemysłu chemicznego, wytwarzającego kwasy i substancye niezbędne do przerobu materyałów surowych na nawozy, np. kwas siarczanu do wyrobu superfosfatów.

Życie nasze, zwierząt i roślin, to życie materyi białkowej, organizmy nasze składającej. Niezbędną częścią składową białka jest azot, który roślina czerpie z ziemi tylko w postaci azotanów (saletr), czyli soli kwasu azotowego. Pytanie więc zachodzi, czy wyczerpanie bogatych pokładów saletry, np. chilijskiej, nie grozi życiu? Czy niema innego źródła kwasu azotowego i jego soli, prócz źródła dotychczasowego — saletry. Otóż jest. Bo aczkolwiek azot, ten gaz bardzo nieczynny, w zwykłych warunkach w powietrzu z tlenem się nie łączy i kwasu azotowego nie wytwarza, połączenie to następuje jednak w powietrzu podczas wyładowań elektrycznych: w wodzie deszczowej po burzy zawsze znaleźć można trochę kwasu azotowego. Wymyślony też został przez inżenierów Bradleya i Lorejoy przyrząd, który ma wytwarzać kwas azotowy wprost z powietrza pod działaniem elektryczności. Niema jednak potrzeby uciekania się do takiego sztucznego i drogiego kwasu azotowego, skoro otrzymuje się on dziś taniej z saletry, przy działaniu na nią kwasu siarczanego.

Wogóle nie wszystkie sposoby proste, więc tańsze, są lepsze od dawnych droższych, że tu wspomnimy np. o skórach garbowanych kwasem chromowym; nie wszystkie też związki sztucznie wytworzone wypadają taniej od naturalnych. Toć wyskok (alkohol) otrzymany został sztucznie ze znanego gazu acetylenu; cukier sztuczny— z aldehydu mrówczego, związku nadzwyczaj prostego; lecz wyskok po dawnemu fabrykuje się z krochmalu, zawartego w ziarnkach zboża i w kartoflach; cukier zaś z soku trzciny cukrowej i buraków cukrowych. Synteza, choć niezawsze w skutkach praktyczna, pociąga jednak niesłychanie chemików: moc tworzenia, moc naśladowania natury ma urok niewysłowiony, i żaden z nich nie wyzbywa się nadziei, że kiedyś, kiedyś—może i najzawilszy związek chemiczny — białko, podstawa życia, syntetycznie otrzymany zostanie, i z nim może rozwiązana będzie zagadka istnienia.

Kwas azotowy, niezbędny do wytwarzania w roślinach białka, więc życia, jakby przez ironię, staje się również materyałem niezbędnym do wytworzenia materyj wybuchowych: prochu, nitrogliceryny, nitrocelulozy, kwasu pikrynowego, więc materyj zniszczenia i śmierci. Dziś udoskonalenie środków wybuchowych jest nadzwyczaj wielkie, a ich siła niszcząca jest przerażająca. Może właśnie straszne skutki postępu na tem polu noszą w zarodku — pokój powszechny.

Jeżeli wreszcie na zakończenie wspomnimy o lekach i środkach dezynfekcyjnych sztucznie i niesztucznie dziś przez chemików na wielką skalę wytwarzanych, to zdaje się, że w tym krótkim zarysie objęliśmy główniejsze zdobycze chemii, stosowanej do potrzeb życia codziennego, powszedniego.

Ale widocznie nie na celach praktycznych kończy się zadanie chemii i nie dlatego tylko ludzie jej się uczą, skoro znakomity fizykochemik współczesny, profesor Ostwald z Lipska, nie może znaleźć dość dużej auli na pomieszczenie słuchaczów wykładanego przez się i opartego na zdobyczach chemii teoretycznej kursu filozofii natury *).

T. M.

LITERATURA I SZTUKA.

Nowele i powieści Orkana.

Władysław Orkan: *Nowele* (z przedmową K. Tetmajera), Warszawa. Gebethner i Wolff, 1898, str. 194; *Nad urwiskiem*, szkice i obrazki, str. 218; *Komornicy*, powieść, str. 180; *W Roztokach*, powieść, tom I str. 228, tom II str. 242, Lwów, Tow. wydawnicze, Warszawa, S. Sadowski, 1903.

Naprzeciw Tatr, między doliną nowotarską a wężowatą kotliną Raby, wspięło się gniazdo dzikich Gorców. Od romantycznych Pienin odciął je wartki kamienicki potok, a od spiskiej krainy odgraniczył je falami bystry Dunajec. Ten niewielki szmat ziemi skalistej i dzikiej, o którym przed ukazaniem się utworów

*) W poprzednim ciągu niniejszego artykuła, str. 285, szp. 3, wiersz ostatni od dołu, zamiast „manganowy,“ powinno być: „manganawy“; str. 286, szp. 1, w. 1 od góry, zam. „manganowego“ — „manganawego“; str. 206, szp. 2, w. 29 od góry, zam. „podchlorowy“ — „podchlorawy.“

powieściowych Orkana mało kto wiedział i słyszał, tę okrytą mgłami krainę „kęp i wiecznej nędzy,“ tę zamrożoną bólem ziemię smutków i niedoli, gdzie „po ugorach i po szarych łanach zbóż jeden tylko słychać wszędzie płacz i zgrzyt,“ ukochało „nad miarę“ gorące serce poety, który jest krwią z krwi tej ziemi i kością z jej kości. Z rodzinnych wyżyn swoich, ze szczytów Turbacza lub Babiej Góry, wzrok Orkana obejmuje niewątpliwie widnokręgi szerokie. Nie są mu obce ani walki i zagadnienia społeczne dzisiejszego świata, ani dręczące bóle i zwątpienia dusz współczesnych. A jednak w twórczości swojej autor „Komorników“ nie wybiega po za granice, zakreślone bystrym wartem Dunajca i kamienickiego potoku, po za piękny, ale pogrążony w nędzy kraj „Gorców“ i po za ich życie, trosk pełne — nie dlatego bynajmniej, aby go nie ciągnął i nie nęcił przepastny wir dążeń, walk, zwątpień, radości i cierpień, huczących nieskończonem echem po szerokim świecie, lecz że, jak dotąd, odnajduje je wszystkie prawie w tym swoim niewielkim światku, który poznał i ukochał od dziecka. „Powszechnem jest mniemanie — mówi ten poeta zagórzański w przedmowie do jednej ze swych powieści — że chłopska dusza jest mało złożona, myśli zaś, o jednem skrzydle, trzepocą się jak drób; wesołość musi stać się koniecznie grubym śmiechem, strapienie musi być koniecznie lamentacyą, subtelnych uczuć nic... A przecież jest w tej duszy tak szeroka skala, tyle nieznanych strun, że — potrącone — grają przeczystą liryką naiwnego serca pierwotnych ludzi-pasterzy, albo szepcą dziwne słowa planetniczą gwarą, zrozumiałą jedynie tym, co zwykli siadać na powietrznych chmurach i patrzeć stamtąd okiem smutnem na tę małą okruszynę u stóp swoich — ziemię... W zapadłym jakimś kącie można spotkać panteistę, co zna mowę ptaków, nerwowego poszukiwacza skarbów, milczącego filozofa rezygnacyi, który się już niczemu na świecie nie dziwi, a prócz tych — naturalnie — wszystkie warstwy ludzi, jakie się widzi w szerokim świecie. Najmizerniejsza z wioszczyn ma swoją arystokracyę rodową, średnio zamożnych chałupników i bezdomną, od wspólnego stołu życia odłączoną rzeszę. Na zewnątrz, podobnie jak w całym cywilizowanym świecie, wszystko zdaje się jednako szarem, smutnem, niewartem uwagi — a wewnątrz, pod skorupą bezbarwnego życia, dzieją się rzeczy straszne, tragedye ciche, snują się bezustanku te podwodne widma — czasem bełkot, wir mówi, że coś tam się stało, lecz wnet powierzchnia się wygładza, i dalej płynie to życie mętną rzeką — jednakie, szare, monotonne...“ W słowach powyższych mieści się niewątpliwie klucz do rozwiązania zagadki dotychczasowej twórczości Orkana, ciekawej, oryginalnej, potężniejącej z każdem dziełem nowem, niezmiernie odrębnej, młodzieńczej jakiejś i świeżej, a we współczesnej literaturze naszej — rzec można — w rodzaju swoim jedynej.

Twórczość swoją rozpoczął Orkan, syn włościan, górali z okolic Limanowej, przed pięciu czy sześciu laty, tomem nowel, wydanym, wkrótce po ukończeniu gimnazyum, z przedmową Kazimierza Tetmajera, który pierwszy przeczuł w młodziutkim jeszcze wówczas poecie duży talent pisarski. Przeczuł — powiadam — gdyż wstępny ten zbiór utworów Orkana nie posiada jeszcze, z małymi wyjątkami, poważniejszej wartości artystycznej i nie wznosi się prawie ponad poziom przeciętnych prób studenckich, świadczących więcej o szlachetnych dążeniach społecznych i aspiracyach literackich młodego autora, niż o jakichś zdolnościach wybitniejszych. Z pośród kartek książki wyziera tu jeszcze zbyt natrętnie tendencya, zamieniająca niektóre utwory (takie np. „Dwie kartki z życia nauczyciela“) w rozprawki społeczne, przybrane jedynie w formę nowelistyczną. Brak w tym tomie wogóle świadomego siebie opanowania formy, jest pewna niewybredność w wyszukiwaniu tematów, pozwalająca np. na włączenie do zbiorku takiego melodramatycznego w tytule i wykonaniu utworu, jak „Zemsta trupa.“ Sporo tu wogóle naiwności i rozwlekłości, choć są i obrazki, stojące już na granicy piękna artystycznego, jak np. ładny, przy końcu smętno-nastrojowy „Pogrzeb,“ lub opis uroczystości sianokosowych, z udziałem rzewnego grajka wiejskiego, Jaśka („Skrzypki grają — bieda gra“). Co jednak uderza już w tym pierwszym zbiorze nowel, to gorące umiłowanie otoczenia najbliższego, dostarczającego wyłącznie młodemu autorowi pomysłów i treści, i żywa chęć zapoznania szerszego świata z ukochanym swym zakątkiem ziemi, z uczuciami, mową i życiem jego mieszkańców. Jest to rys zasadniczy, który pozostanie już jedną z cech stałych talentu Orkana, rozwijając się tylko i pogłębiając w utworach późniejszych.

Ale i pod innym jeszcze względem pierwsze nowele autora „Roztok“ zasługują na baczniejszą uwagę. W zaczątku, w zarodku samym możnaby w nich odnaleźć pomysły obu wydanych dotąd większych powieści jego, a może i niejednego z utworów, które dopiero ukazać się mają. Taki np. czterostronicowy obrazek p. t. „Bezdomni“ pozostaje w blizkiem pokrewieństwie ideowem z późniejszymi „Komornikami,“ a w „Przeznaczeniu“ odnalazłby się już może pierwszy zarys postaci wójta Suhaja, namalowanej z taką plastyką i siłą artyzmu we „W roztokach.“

Dwa lata tylko dzieli ukazanie się pierwszych nowel Orkana od wydanego w roku 1900 nowego zbioru szkiców i obrazków p. t. „Nad urwiskiem,“ ale różnica między temi dwiema książkami przepaścista. Tam mieliśmy do czynienia z pierwszemi próbami zdolnego i kochającego swe otoczenie najbliższe studenta, tu—wyłącznie już prawie z utworami skończonego i świadomego swych środków artysty. Różnica ta zresztą dotyczy głównie formy i języka, który tu wyplastyczniał i zmężniał; treść nie uległa zmianom poważniejszym, choć również pogłębiła się znacznie. Owo dążenie autora do zaznajomienia szerszego ogółu ze swemi ukochanemi górami, z życiem ich mieszkańców i z tym ich smutkiem, który, „gdy się rozpęta, gdy się uduchowi, staje się smutkiem ugorów i tłoków, i tych jałowców, i tej pustki głuchej, rozpaczą prawie, żalem beznadziejnym, tęsknotą wieczną trawiących się dusz,“ uwypukliło się tu jeszcze i znalazło wyraz w szeregu krótkich, ale wymownych szkiców pod ogólnym tytułem „Z krainy Gorców,“ oraz w kilku prześlicznych obrazkach („Wilija,“ „Na godnie święta,“ „Bazie,“ „Wesoły dzień“), odtwarzających systematycznie, niekiedy z epicką niemal powagą i drobiazgowością, ważniejsze uroczystości doroczne ludu podkarpackiego.

Uwypukliła się również i przybrała w formę artystyczną myśl inna, troska głęboka i poważna, która Orkanowi nie da odtąd spokoju, do której powróci parokrotnie i którą uczyni jedną z idei przewodnich najlepszego dotąd ze swych utworów, dwutomowej powieści „W roztokach.“ Troska to o przyszłość tego ludu górskiego, drobiącego na coraz mniejsze kawałki szczupłe działy gruntu, odziedziczonego po przodkach i niemogącego już dziś wystarczyć na wyżywienie zraszających go swym potem rodzin. A co będzie dalej, co dalej, gdy działki zmniejszą się jeszcze? Obawę tę, zdającą się przygniatać piersi Orkana, autor wypowiada po raz pierwszy z siłą niepospolitą w króciutkim szkicu „Nad urwiskiem,“ gdzie przed przerażonym góralem staje okropna wizya przyszłości, beznadziejnej i strasznej dla plemienia całego. „Z wyobraźni znikła wieś dawna, którą jeszcze w myślach nosił—i dzisiejsza oddalała się zwolna—a z poza mgły, z przyszłości, występują miedze... same miedze, jedna przy drugiej, gęsto, jak skiby na uwrociu... Wilgotne bruzdy czerwienią się rdzawo, jak gęsto ścięta, skrzepła krew... A tłumy ludzi idą mrowiskiem, czernią, milionową szarańczą zalewają krwawe pola... I widać, jak się to robactwo kłębi, dusi i spycha i walczy zajadle o każdą skibę, aż ziemia powilgotniała od czarnej posoki, a ciepłe opary wznoszą się w powietrzu...“

(D. n.).

Wł. Bukowiński.

Jan Karłowicz.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 14 czerwca zmarł w zakładzie dr. Solmana w Warszawie Jan Karłowicz, zasłużony badacz i szeroką popularnością cieszący się uczestnik wielu przedsiewzięć społeczne - artystycznych. Urodził się on 1836 r. we wsi Subartowicach (pow. Trocki), gimnazyum kończył w Wilnie, wydział filologiczny w uniwersytecie moskiewskim, potem zaś dopełniał swe studya w Paryżu, Heidelbergu i Brukselli. W r. 1865 po obronie rozprawy: „De Boleslai Primi bello Kijoviensi,“ otrzymał stopień doktora uniwersytetu berlińskiego. W r. 1867 zwiedził Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, poczem czas jakiś spędził jeszcze w Heidelbergu, Dreznie i Pradze czeskiej. Po powrocie do kraju zamieszkał na stałe w Warszawie. Tu rozpoczął pracę na dwóch zaniedbanych u nas polach, a mianowicie na niwie językoznawstwa i folkloru. Co do pierwszego, to z nazwiskiem Karłowicza na zawsze zostanie związana wspólnie z Adamem Kryńskim i Władysławem Niedźwiedzkim prowadzona praca nad ułożeniem „Słownika języka polskiego“; sam już wyłącznie zajęty był opracowaniem „Słownika gwar polskich,“ który doprowadził zaledwie do litery *K*, i „Słownika wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia, używanych w języku polskim“ (doprowadzony do litery *Ł*). Oba te wydawnictwa są bardzo cenne i byłoby istotną szkodą, gdyby nie zostały ukończone. Od roku 1888 objął redakcyę *Wisły*, w której zamieścił wiele prac gruntownych. Po za tem ogłosił kilka studyów w „Pamiętniku fizyograficznym“ i wydał cały szereg rozpraw z dziedziny historyi, lingwistyki i folkloru. Pozostawił także przekłady, jak: Spencera „Zasady etyki,“ Drapera „Dzieje stosunku wiary do rozumu,“ Macaulaya „Szkice historyczne.“ Od szeregu lat należał do współredaktorów „Wielkiej Encyklopedyi ilustrowanej,“ gdzie pomieścił wiele artykułów ludoznawczych.

Przyczynił się również do założenia Muzeum etnograficznego.

Kasa literacka powołała go przed dwoma laty na swego prezesa. Śmierć jego nastąpiła prawie nagle po operacyi, spowodowanej rakiem żołądka.

POEZYE

Z wrażeń wschodnich.

MIRAŻ.

I.

Niebo z żaru oślepło. Z ziemi ogień bucha,
Jak z kuźni: wgrąża w siebie, dusi, dech za-
[piera.
O, *Azis Akbar Ałłach!* [1])—Sejd [2]) usta otwiera
I namaz [3]) przerwać musi: bez głosu pierś sucha.

Wkoło — spopielonego stepu równia głucha,
Gdzieś, na tle gór błękitnych cień długi wyziera,
Za nim drugi, dziesiąty: garby dromadera
Kołyszą się sennymi ruchami eunucha.

A wtem błysły przed okiem szerokie roztocze:
Sylweta drzew w ruchomej toni wód migocze,
Jak srebrna pajęczyna, falistej, rozwiewnej...

Woda! Rzeka! Hej, w konie!!!.. Pędzimy bez
[końca —
Rzeka znika. I znowu pustosz, gromy słońca.
W sercu morze goryczy, palącej, rozlewnej.

II.

Zawiedziony wzrok wlokłem po klepisku drogi.
W wyżartych suszą zwłokach tegorocznej trawy
Wił się młodej szarańczy brunatny rój żwawy,
Kotłował się i kłębem parł koniom pod nogi.

Obejrzałem się. Martwe, pustynne rozłogi
Ironią żywe! Za mną znowu szlak srebrnawy,
Pozorem fal wabiący, znów zieleń murawy:
Woda! — Dla mych następców gotów zawód
[srogi.

Na spiekłym życia stepie czyż nie w takiej
[męce
Do złudnej wizyi szczęścia już wyciągasz
[ręce —
Nagle z oczu ci znika — i straciłeś wiarę?

Szaleńcze, który szukasz po za sobą życia,
Miast wokoło, patrz w siebie. Tam znajdziesz
[nie marę,
Lecz jawę szczęścia. Przejrzyj! Dobądź ją
[z ukrycia!

Wacław Rogowicz.

O prawdę.

Redakcya „Poradnika językowego,“ pisma *poświęconego poprawności języka i stylu polskiego* wydrukowała w nr. 3 z r. b. odezwę następującą:

(„Por. jęz.“ str. 52) Od redakcyi. Szan. naszych Czytelników i Przyjaciół prosimy uprzejmie:

1) „aby w korespodencyi z nami nie używali ani skróceń w podpisie, lub co gorsza nie pisali bezimiennie; bo listy takie idą zwykłą drogą—do kosza.

2) „aby raczyli czytać dokładnie „Poradnik“, ale oprócz niego i przedewszystkiem inne czasopisma i dzieła i przysyłali nam z nich wydobyte błędy.“...

Zachęcony uprzejmą prośbą redakcyi, powstrzymałem się narazie od zalecanego czytania „innych czasopism i dzieł,“ a „przedewszystkiem“ przeczytałem dokładnie dwa numery „Poradnika“ (nr. II i III z r. b.). I zrobiłem niespodziewane odkrycie. Po pierwsze miałem możność „wydobycia“ licznych błędów, a po drugie doszedłem do wniosku, że „Poradnik językowy,“ ten Beniaminek prasy warszawskiej, to pismo, które znaleźć się powinno na „każdym stole polskim,“ jak zapewniał nas jeden z fejletonistów — jest pismem (nieświadomie) humorystycznem, a co smutniejsze, szerzącem niedorzeczności i błędy językowe. Oto dowody, „wydobyte“ przezemnie nie z działu p. n. „Krotochwile językowe,“ lecz z artykułów i uwag redakcyjnych „Poradnika“, raz jeszcze dodam: pisma, „poświęconego poprawności języka i stylu polskiego.

Na str. 19 „Por. jęz.“ znajduję takie wyrażenie:

„Gdy te *większe, więcej* złożone obrazy, *rozbierzemy na części* składowe, zostaną nam wyrazy...“ Gdy cokolwiek „rozbierzemy na części składowe,“ to zostanie nam wrażenie błędu logicznego. A oto dłuższa próbka stylu:

Str. 20, „spojrzawszy na historyę języka polskiego i jego psychologii, obaczymy w niej (?) kilka warstw, kilka pokładów (?!). Ostatnia (?) *jest* jego wytworem oryginalnym, własnym; w poprzedniej (?) *jest* on (?) *w zawiązku w pierwotnym języku słowiańskim, pewne więc właściwości wspólne przeniósł* (?) z niej (?) do czasów późniejszych — *stąd* (?) *pokrewieństwo psychiczne* języków słowiańskich; w epoce jeszcze (?) wcześniejszej znajduje się (?) w pierwotnym języku aryo-europejskim, i *stamtąd* (?) *wyniósł* (?) *pewne właściwości wspólne, stąd* (?) *pokrewieństwo psychiczne* języków aryo-europejskich. Dalej już nie sięgamy.“

Str. 21. „Czytamy tam takie np. formy...“

Czyżby formy można było czytać?

Str. 23: „...przekład świadczy o procesie asymilacyjnym, który *już się wciska...*“

Str. 25: „...nie umiemy *skreślić* jej (tj. choroby) rodzaju...“

Str. 26: „przestrzeń i obszar mają *blizkie znaczenie...*“

Str: 34: „...będziemy je umieszczać..“

Po polsku mówi się: będziemy umieszczali.

Str. 34: „Wytykaliśmy dotąd zamiłowanie obczyzny...“

Chyba: umiłowanie obczyzny, lub zamiłowanie *do* obczyzny.

Str. 38: „...w języku piśmiennym.... w mowie ustnej....“

Mowa ustna jest wyrażeniem dotąd nieznanem, a język piśmienny pokazała po raz pierwszy redakcya „Poradnika.“

Str. 40: „W zdaniach odwrotnych, mających postać zdania głównego ..“

A jakąż to „postać“ ma zdanie główne?

Str. 43: „Ponieważ po polsku używa się w tym wypadku...“

Cóż to znowu za używanie po polsku?

Str. 44: „Zatrata poczucia wyrazu...“ ?!

Str. 48: „Będziemy odtąd dawać...“

Str. 48: „W nazwach, oznaczających stopień pokrewieństwa *mamy* prócz *wyrazów rodzimych* i wyrazy obce, jakbyśmy *we własnym języku nie mieli* wyrazów...“

Mamy, jakbyśmy nie mieli...

Str. 49: „Słyszeliśmy na własne uszy u Kaszubów określenie *kuzyna*: przez półbrat, półsiostra“

A to zaiste ciekawe stworzenie taki kuzyn—półsiostra!

Str. 49: Wyrazy ludowe, oddające dobrze pojęcia.

Czy wyraz może oddać pojęcia?

Na okładkach „Poradnika“:

„Kto nadeśle przekazem należytość, kosztów przesyłki nie poniesie.“

Nikt „należytości“ nie nadeśle.

„...reklamacye nieotrzymanych numerów...“

Zamiast: z powodu nieotrzymanych numerów.

Dość! Ktoby nie wierzył, że tyle niedorzeczności i błędów językowych „wydobyć“ można z artykułów redakcyjnych miesięcznika, *poświęconego poprawności języka i stylu polskiego*, ten może sprawdzić, a ja każdego niewiernego Tomasza (byle obznajmionego z gramatyką) zapewniam, że sprawdzając, będzie mógł „wydobytą“ przezemnie kolekcyę barbaryzmów językowych, nie jednym powiększyć okazem.

Na zakończenie kilka uwag.

Redakcya „Por. jęz.“ często widzi źdźbło w oku bliźnich swoich i to dobrze, ale częściej jeszcze belki w swojem nie widzi, a to znowu źle! To nawet więcej niż źle, bo wskutek tego „Poradnik“ zakrawa na drwiny z czytelników i prenumeratorów.

Sprawa językowa jest dla nas doniosłą. Pismo poważne sprawie tej poświęcone jest potrzebne, a nawet konieczne. To też redakcya „Poradnika“ powinna czuwać nad nią ze szczególną uwagą.

Artur Śliwiński.

[1]) Jedyny Wielki Boże!
[2]) Właściwie: *Seïd*. Tytuł ten noszą mułłowie, z rodu Mahometa pochodzący.
[3]) *Namaaz* — poranna, południowa i wieczorna modlitwa muzułmanina.

PRASA ROSYJSKA.

— Generał-gubernator turkestański wystosował do dyrektorów średnich zakładów naukowych okólnik, który podajemy tu za gazetami petersburskiemi:

„W niektórych zakładach naukowych kraju Turkestańskiego wydalanie uczniów stosowane było, jako środek karny za popełnione przez nich przewinienie. Po wszechstronnem zbadaniu sprawowania wydalonych, łącznie z innemi okolicznościami każdej sprawy, okazało się, że środek wymieniony nie odpowiada stopniowi winy. W chwili wyznaczania tej kary nie przywiązywano widocznie właściwego znaczenia ani do wieku i rozwoju umysłowego winowajców, ani do wrażliwości i innych indywidualnych ich właściwości, ani do wpływu rodziny i otoczenia, ani nawet do tych przyczyn, które, jako miejscowe w danych zakładach, musiały wywołać przewinienia wśród młodzieży lekkomyślnej. Poddawać młodzież tę tak ciężkiej karze, jak wydalenie z zakładu, byłoby ślepem i bezwzględnem trzymaniem się litery prawa i zamiast moralnej poprawy winnych, drażniłoby ich, doprowadzało do zawziętości, a nawet, być może, do ostatecznego zepsucia. Celem zapobieżenia temu postanowiono sprawy wydalonych zbadać powtórnie i decyzyę rady pedagogicznej o wydaleniu odwołać. Niezależnie od tego wzięto pod uwagę okoliczność, że wychowawcy posiadają w rękach swych cały szereg radykalnych sposobów do moralnego oddziaływania na uczniów. Umiejętne, cierpliwe i stosowne użycie tych sposobów zawsze zrobi swoje i nigdy nie pozostanie bez następstw dodatnich. Wówczas potrzeba uciekania się do sposobów przeciwnych lub środków karnych zmniejszy się sama przez się. Taki zaś ostry środek karny, jak wydalenie z zakładu naukowego, jest zgubnym dla dzieci, bolesnym dla rodziców, szkodliwym dla społeczeństwa i państwa, a jeśli może być stosowany, to wyłącznie w razach nadzwyczajnych, a nadto nie za występki, lecz za przestępstwa. Od tych ostatnich niech Bóg chroni naszą uczącą się młodzież.

Spodziewam się, że za tak zwane szkolne występki, choćby znaczne, kara wydalania z zakładów naukowych powierzonego mi kraju stosowana nie będzie.“

KRONIKA.

— Aleksander Świętochowski wyjechał za granicę.

Wiadomości społeczne. Majstrowie mularscy postanowili nie przyjmować na naukę praktykantów, którzy nie przedstawią dowodów z ukończenia czterech klas gimnazyalnych lub nie złożą egzaminu z kur-

su szkoły rzemieślniczej. Do niedawna praktykanci bez kwalifikacyj, nie przyjmowani do zgromadzenia, mnożyli zastępy proletaryatu rzemieślniczego. (*Gaz. Pols.*).

— Wychodźstwo Europejczyków do Ameryki wciąż się wzmaga. Do Nowego-Yorku przybywają ciągle liczni emigranci; w jednym np. dniu, 2 czerwca, wysiadło na ląd amerykański 1,768 osób, szukających chleba i szczęścia za morzem.

— Delegowani ze strony Austryi i Węgier geometrzy ukończyli prace ustalenia granicy nad Morskiem Okiem. Granicę wycięto w lesie i usypano kopce.

— Towarzystwo pomocy żydów niemieckich zebrało dla swych współwyznawców w Kiszyniowie 345,000 marek.

— Przyprowadzona na śledztwo do kijowskiego zarządu żandarmskiego aresztantka polityczna, izraelitka, Frumkina, rzuciła się na prowadzącego śledztwo naczelnika gubernialnego zarządu żandarmskiego, generała-majora Nowickiego i zraniła go w prawą stronę szyi nożem deserowym.

Z Poznańskiego. Pisma hakatystyczne wyrażają wielki niepokój z powodu postanowień ogólnego zebrania poznańskiej, trzeciej Kasy na wypadek choroby. Na zebraniu tem Polacy, będący w znacznej większości, uchwalili wypowiedzieć usługi wszystkim lekarzom, dentystom, aptekarzom, bandażystom itd.— Niemcom, a natomiast posady przy Kasie powierzyć siłom polskim. Kontrakty zostały już wymówione. Pisma niemieckie upatrują w tem postanowieniu „jawny bojkot i prowokacyę.“ (*Gaz. Polska*).

— Przed izbą karną gnieźnieńską toczyła się sprawa przeciwko 24 gimnazistom, oskarżonym o należenie do związków tajnych. Oskarżenie opierało się: 1) na aktach procesów toruńskiego i poznańskiego; 2) na sprawozdaniu pierwszego kongresu „Kółek“ w Poznańskiem; 3) na kilku artykułach dziennikarskich; 4) na pamiętniku akademika Sumińskiego; 5) na korespondencyach skonfiskowanych na poczcie; 6) na przedmiotach, skonfiskowanych przy poszukiwaniu domowem (książka kasowa, szkatułka z pieniędzmi i wykaz książek); 7) na zeznaniu kilku oskarżonych, przedewszystkiem Maniewskiego; 8) na doniesieniu pewnego Niemca. Akt oskarżenia dzielił się na trzy części: W pierwszej sąd gnieźnieński przyszedł do przekonania, opierając się na wyrokach sądów w Poznaniu i Toruniu, jak również na zeznaniu kilku oskarżonych, że pomiędzy młodzieżą istniała organizacya tajna, mająca za zadanie budzenie i szerzenie poczucia narodowości. W części drugiej aktu oskarżenia prokurator odpowiadał o zadaniu i nastroju Kółka gnieźnieńskiego. W Gnieźnie domyślano się istnienia organizacyi głównie z tego powodu, że Polacy klas wyższych trzymali się zdała od Niemców, między sobą zaś żyli w bardzo wielkiej zażyłości. Gdy nadto ukarano w Toruniu kilka b. gimnazistów gnieźnieńskich, którzy w Brodnicy stali na czele Kółka gimnazyalnego, wówczas — zdaniem prokuratora — nie ulegało wątpliwości, że w Gnieźnie istnieje organizacya, a w niej bardzo czynna praca. Znalezienie książek historycznych i literackich u ucznia Janiszewskiego, a kasy Kółka u Grodzkiego, wreszcie zeznania trzeciego ucznia, Maniewskiego, który wiele opowiadał o kolegach, utwierdziły prokuratora w podejrzeniach. Część trzecia aktu oskarżenia zajmowała się udziałem każdego z członków w Kółku, a opierała się na zeznaniach Maniewskiego. Dnia 9 czerwca zapadł wyrok, mocą którego przewódcy związku, Szwemin i Powidzki skazani zostali na sześć tygodni, Rzesiewicz i Niklewski na trzy tygodnie, trzech oskarżonych na tydzień, jeden na pięć dni, pięciu na trzy dni, jeden na dwa dni i dwóch na jeden dzień więzienia. Trzech oskarżonych sąd skazał na naganę, pięciu uniewinnił. Prokurator żądał skazania: Szwemina i Powidzkiego na dwa miesiące, reszty zaś oskarżonych na 10 dni więzienia.

Szkoły i wychowanie. Zajęto się sprawą otworzenia szkoły początkowej dla sierot z domu wychowawczego przy szpitalu Dzieciątka Jezus.

— Wychowańcy warszawskiej szkoły realnej, którzy ukończyli ją w r. 1888; otrzymali pozwolenie na urządzenie zjazdu koleżeńskiego w d. 1 lipca r. b.

— Na posiedzeniu komitetu naukowego ministeryum oświaty w sprawie przekształcenia szkoły średniej przedmiotem narad była kwestya organizacyi instytutu i kursów do przygotowania personelu pedagogicznego i wychowawczego. Przy opracowaniu projektu za podstawę posłużyły, oprócz wzorów zachodnio-europejskich, również już istniejące obecnie kursy dla oficerów-wychowawców wojskowych zakładów naukowych. Zaprojektowano specyalne uczelnie dla przygotowania ludzi do pracy pedagogicznej w szkole średniej, oraz specyalne kursy profesyjny dla ludzi z ukończonem wykształceniem. Na następnem posiedzeniu ma być rozważaną sprawa reformy wychowania moralno-religijnego. W tym względzie zamierzono rozszerzyć obecnie programy religii i zorganizować w jak najszerszym zakresie pozaszkolne nauki i konferencye religijno-moralne.

— Liczba szkół handlowych w Rosyi wynosi obecnie 147 z 32,251 uczniami. W pierwszym roku (1896) ogłoszenia ustawy było 8 szkói i 2,500 uczniów.

— Na mocy Najwyżej zatwierdzonej uchwały rady państwa niższe szkoły techniczne rządowe, w których uczniowie kończą cały kurs wykładowy, zaliczone zostały do korzystających przy odbywaniu powinności wojskowej z ulg II-go rzędu.

— Na rektora uniwersytetu krakowskiego powołany został prof. Edmund Krzymuski, w miejsce prof. M. Bobrzyńskiego, który wyboru nie przyjął.

— W Bernie otworzono nowy gmach uniwersytecki.

Zdrowie publiczne. Według statystyki angielskiego pisma lekarskiego *Lancet*, dżuma w Indyach wciąż wzrasta. W r. 1900 było 56,000 wypadków śmierci, w r. 1901 – 274,000, w r. 1902 zaś 577,000, w roku bieżącym cyfry są jeszcze bardziej zatrważające, przez trzy pierwsze miesiące zaraza pochłonęła 334,000 ofiar, z których na marzec przypada 136,000. Najbardziej szerzy się dżuma w Pendżabie, gdzie umiera 18,500 ludzi tygodniowo.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę drugiego Towarzystwa wzajemnego kredytu w Radomiu.

— Na jesieni roku bieżącego otworzona zostanie w Złotopolu (gub. Kijowskiej), niższa szkoła rolnicza pierwszego rzędu; powstaje ona z zapisu obywatela ziemskiego, Władysława Narwojsza.

— Ogłoszone zostały przepisy, na mocy których papiery publiczne, kupione na rachunek funduszu rezerwowego Tow. kred. ziemsk. w Królestwie Polskiem, winny być złożone w Banku państwa.

— Od 1 lipca do października r. b., w Lorient, we Francyi, trwać będzie wystawa międzynarodowa sztuki, wychowania i literatury.

— Od 13 do 20 września r. b. urządzona będzie w Winnicy wystawa rolnicza, która obejmować ma okazy z gub. Podolskiej i sąsiednich.

Koleje i komunikacye. Od d. 14 czerwca wprowadzone zostały na kolejach nowe przepisy dla przewozu ładunków z zadeklarowaną wartością, za których zagubienie lub uszkodzenie odpowiadać będą zarządy kolejowe. Na ten cel pobierana będzie opłata ubezpieczeniowa dodatkowa od towarów po $^1/_3$ kop., od bagażów po $1^1/_2$ kop., od zwierząt i towarów ulegających łatwo zepsuciu — po 5 kop.

Katastrofy. W Azowie podczas wsiadania na parostatek, powracających do Rostowa n. D. wycieczkowiczów, załamał się przegniły pomost, skutkiem czego mnóstwo osób wpadło do wody. Ofiar wypadku nie zdołano obliczyć, gdyż silny prąd uniósł zwłoki utopionych; przypuszczalnie utonęło około 200 osób.

— Orkany, burze i oberwania się chmur zrządziły ogromne szkody w Karolinie południowej, Wirginii zachodniej, Kolumbii; rzeki wystąpiły z brzegów i zalały kilka miast, przyczem nie obeszło się bez ofiar w ludziach; dziesiątki tysięcy osób pozbawionych zostało dachu i pożywienia.

— Parowiec „Liban,“ został uszkodzony w zatoce Marsylskiej przez statek „Insulaire,“ i poszedł na dno. Gdy „Liban“ zaczął tonąć, zanurzając się przodem w fale, załoga i pasażerowie schronili się na tył parowca. Rozpostarty tam był nad pokładem, dla ochrony przed palącymi promieniami słońca, wielki dach z płótna żaglowego. Gdy i tylna część parowca zanurzyła się w wodę, dach płócienny nakrył nieszczęśliwych, utrudniając ratunek wszelki. Rozległ się krzyk okropny, a w chwile potem zaległa cisza śmierci. Utonęło 140 osób.

Zmarli. Ks. Jan Guszalewicz, poeta rusiński, we Lwowie.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Іюня 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.